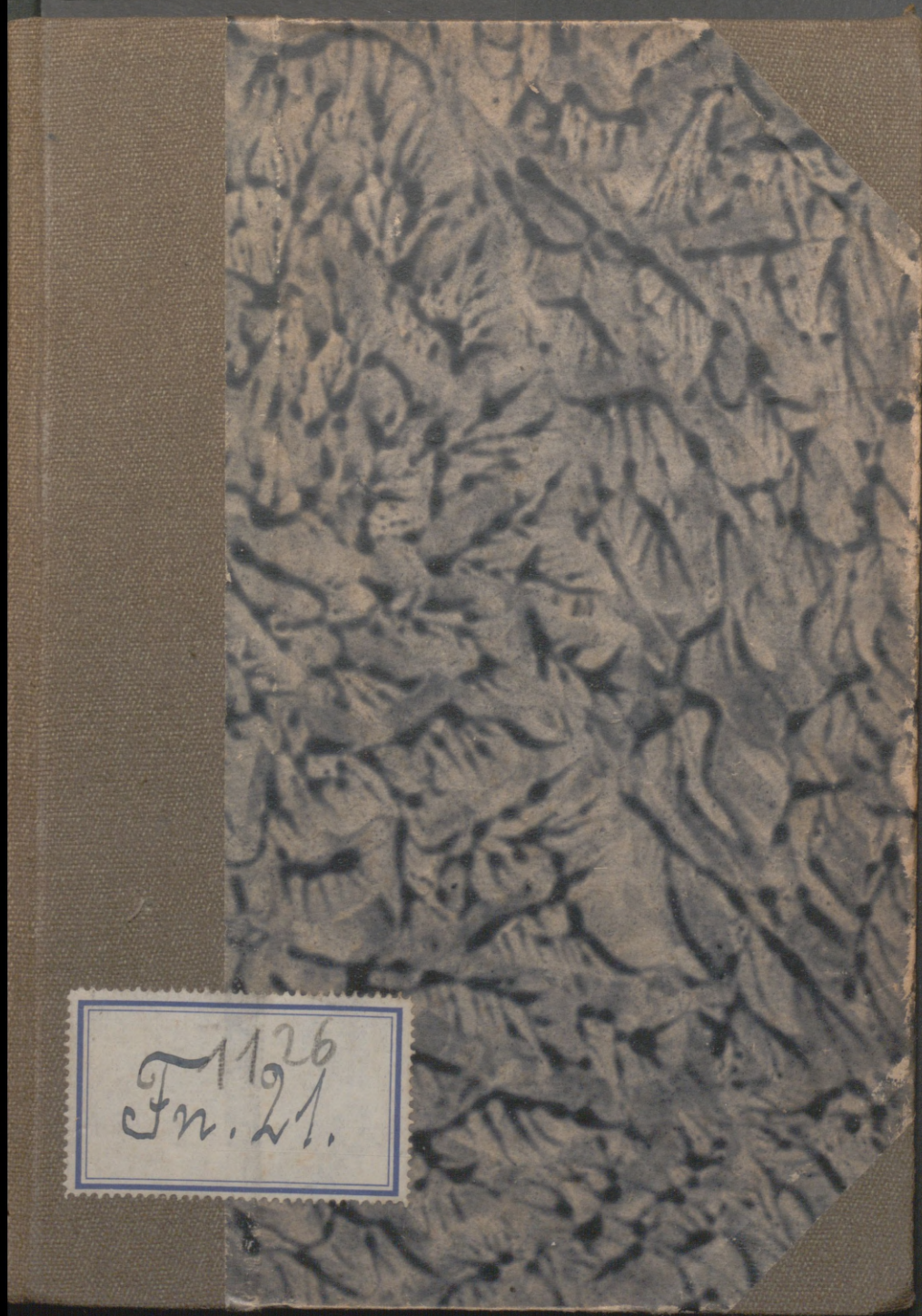


Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



1126
Fr. 21.

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

Fn. 21. 3. 61

BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO
TOMIK XXXI

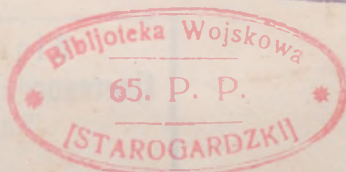
EDMUND GINALSKI

NA FRONCIE
I NA TYŁACH



1123.

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig



WARSZAWA 1936
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OSWIATOWY

884-3: 8(355)

ILUSTRACJE
WŁADYSŁAWA CZARNECKIEGO

OKŁADKA
KAROLA BOISSE

9783/
1



Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Tanzig

SPIS RZECZY:

	<i>Str.</i>
Wstęp	1
Historja bochenka chleba	3
Historja łyżki ciepłej strawy	9
Historja kilkunastu naboï	19
Historja łopaty, drutu kolczastego i rannego konia	28
Historja taborowa	41
Historja rannego strzelca	57
Historja poczty polowej i sklepiku polowego . .	67
Historja świąteczna i urlopowa	78

SPIS TREŚCI

1	Wstęp
2	1. Historia powstania i rozwoju
3	2. Historia Władzy Państwowej
4	3. Historia Kuchnia Państwa
5	4. Historia Państwa i Kuchnia Państwa
6	5. Historia Państwa
7	6. Historia Państwa i Kuchnia Państwa
8	7. Historia Państwa i Kuchnia Państwa
9	8. Historia Państwa i Kuchnia Państwa
10	9. Historia Państwa i Kuchnia Państwa
11	10. Historia Państwa i Kuchnia Państwa

WSTĘP.

Na froncie żołnierz walczy z przeciwnikiem. Raz idzie naprzód w natarciu, to znów broni się wkopany głęboko w ziemię — o tem każdy z was wie i wiele razy słyszeliście o tem na ćwiczeniach.

Niejednemu jednak mogła też przyjść do głowy myśl: na froncie przecie trzeba też i jeść!... Skąd się bierze jedzenie i kto ma czas o tem myśleć podczas zawieruchy, walki? Jak to jest z temi nabojami, których takie mnóstwo może wystrzelać nasza broń, czy możemy być spokojni, że będziemy mieli dowiedzioną na czas amunicję? A co się stanie, gdybym przypadkiem został ranny, kto i jaką da mi opiekę?...

Kto więc chce się dowiedzieć, jaką drogę odbywa nabój z fabryki do karabina na froncie, a żywność od rolnika do kuchni polowej, niech sobie przeczyta te historyjki i rozmowy kaprała Pazyry z kolegami, strzelcami Kluską, Sochą, Roszkiem, Goldbergiem i innymi.

WSTĘP

Na froncie żołnierzy walczy z przeciwnikiem.
Hasło takie napisał w natarciu, to znów przoni-
cie wspaniałe głęboko w ziemię — o tam kładzie
z was widać wiele razy się szło o tam na dwi-
czennach.

Zielonemu jednak mogła też przysięść do-
głowy mieć: na froncie przysięść iż nie
iż jest... Szła się bierzcie iż nie
czas o tam iż nie podać zwyciężyć, walki
jak to jest z tam iż nie podać iż nie
innowo może wyszukać nasz bród czy mo-
żemy być spokojni, że podziemy mieli dawa-
zione na czas natarcia? A co się stało, czy
dym przy padłom został tam, kto i jak da-
ni natarcia.

Kto więc chce się dowiedzieć, jak strona
odbyła natarcia i jakich do karmienia na fron-
cie, a żywność od żołnierzy do karmienia żołnierzy,
niech sobie przeczyna to historyki i romanowi-
ściści. Tępy z kolumną szwedzką i kolumną
Rochy Hrabstwa Gubbargen i inwent.



HISTORJA BOCHENKA CHLEBA

Już od kilku dni pułk nasz wciąż maszeruje, ścigając nieprzyjaciela, który zmyka, aż się kurzy za nim. Zapada noc — piękna, sierpniowa noc. Ale kto by tam zważał na jej piękno, kiedy w nogach czuje ładne kilkadziesiąt kilometrów kresowej drogi, a kiszkki do marsza przygrywają. Trudno im się zresztą dziwić — obiad był gdzieś tam w południe, a po drodze nic dostać nie można: uciekający nieprzyjaciół wszystko zniszczył i spalił naokoło.

Szczególnie dokucza głód młodemu żołnierzowi, ochotnikowi Janowi Klusce, który niedawno przybył w pole i nie zna jeszcze wielu zwyczajów i porządków frontowych; to też chłopak, zwykle wesoły i gadatliwy, spuścił nos na kwintę.

Wreszcie zatrzymaliśmy się na dłuższy odpoczynek. Każdy urządza się, jak może najwygodniej, boć niewiadomo, ile jeszcze tych kilometrów trzeba będzie w nocy odwalić, no i czeka na kolację. A tej ani nawet nie widać!...

Do strzelca Kluski przysuwa się jego „kranjan”, starszy strzelec Pazyra Feliks, i zagaduje:

— No, Jasiu, cóżeś taki markotny?

— E, daj mi spokój!...

— Widzi mi się, że tak za kuchnią ci marakotno?

— Ii... nie mów nawet — aż mię mdli z głodu...

— A gdzież twoja dzisiejsza porcja chleba?

— Jaka znów dzisiejsza porcja? Przecież od wczoraj chleba jeszcze nie dawali!

— E, bratku, to ty, widzę, żyjesz na „kredkę”? To ty nie wiesz, że w wojsku chleb i papierosy dostaje się zawsze wieczorem przed tym dniem, na który są przeznaczone? To, coś otrzymał wczoraj, powinno ci było wystarczyć na cały dzień dzisiejszy...

— Zapomniałem...

— No, ale twoje szczęście, że masz we mnie przyjaciela, to się posilimy tem, co mnie jeszcze zostało.

Strzelec Kluska z wdzięcznością przyjął poczęstunek i odrazu się rozchmurzył. Chwilę jedli w milczeniu, wreszcie Pazyra zapytał:

— A wieszże ty, skąd się bierze chleb w wojsku?

— Też pytanie — z mąki!

— No, a mąka skąd?

— Toć przecie ze zboża, każdy o tem wie!

— Ty mi opowiadasz, z czego się robi chleb, a ja bym chciał, żebyś mi powiedział, czy wiesz skąd dostajemy chleb, to znaczy kto i gdzie go wypiekl, jaką drogą go dostarczono? Naprzykład gdy byłeś w cywilu, to była rzecz prosta: ojciec zasiał, potem zebrał plon, zawiózł zboże do młyna Maćkowego, matka z mąki piękny chleb upiekła, posmarowała jeszcze masłem i do gęby ci wsadziła. Ale w wojsku jest inaczej, bo tu nie o jeden chleb chodzi, ale o wielkie ilości na tyle setek i tysięcy ludzi!... No, kto z was wie? — zwrócił się Pazyra do innych kolegów.

— Nie wiecie? No więc posłuchajcie... Zboże skupuje u rolników intendentura. Jest to taki urząd, który się zajmuje całem gospodarstwem wojskowem, a zwłaszcza naszym wyżywieniem.

Wielkie ilości tego zboża przechowuje się w ogromnych śpichlerzach, na ten cel przeznaczonych. Stąd zboże idzie do wielkich młynów parowych, przy których wiatrak naszego Maćka — to mucha!

Całe pociągi mąki wysyła się z kraju w pobliże frontu, do magazynów intendenty naszego wojska. Z tych magazynów, w miarę potrzeby, bierze się mąkę do pieczenia chleba, czem się zajmują piekarnie wojskowe albo umówione cywilne. Gotowy chleb stygnie jeszcze w magazynie, a już do intendenty zbie-

gają się ze wszystkich oddziałów zapotrzebowania.

Dla wszystkich pułków naszej dywizji pakuje się chleb do kilku wagonów i pociąg jedzie do takiej stacji, z której najłatwiej będzie dostarczyć go do nas. Tu... ale czekajno — zanim dalej opowiem, warto po jedzeniu zapalić papierosa...

— Zapal swojego, mam jeszcze z tych, com dostał na drogę!...

— O, dobry papieros! Widać żeś niedawno przybył z kraju...

Zapalili „cywilne” papierosy i po chwili Pazyra tak dalej opowiadał.

— Tu więc jest nasza stacja zaopatrywania. Ledwie przybył pociąg, a już się zjawia i nasz dywizyjny tabor żywnościowy, zabiera chleb i inną żywność i jazda za nami. Następnego dnia, w jakiejś wiosce, gdzie się mieści dywizyjny punkt rozdzielczy żywności, dzieli się wszystko to na pułki i wydaje naszym pułkowym taborom żywnościowym. Te idą kawałek drogi zazwyczaj jeszcze razem, następnego dnia rozchodzą się każdy za swoim pułkiem, potem dzielą się na bataljony, aż wreszcie wieczorem przychodzą do miejsca postoju naszych kuchen polowych, czyli do punktu wydawania.

Teraz chleb zabiera nasz wóz przykuchenny i przywiezie ci go tutaj wkrótce...

— Rozumiem. No, ale to my przecie strasznie stary chleb jemy!

— Ano, to sobie możemy policzyć:

Mamy dzisiaj 12 sierpnia, jemy chleb wydany nam wczoraj, czyli 11 sierpnia. Tabor pułkowy pobrał ten chleb z taboru dywizyjnego zapewne 10 sierpnia. Na stację zaopatrywania przysłano chleb 9 sierpnia, a więc załadowano do wagonów i wysłano na front pewnie 8-go. A więc upieczono go 7 sierpnia, a może i wcześniej nawet. Jak widzicie, jemy dziś chleb upieczony przed 5 dniami, a może nawet i starszy: nie jest on wcale taki zły. A i o tem trzeba pamiętać, że chleb zbyt świeży, wprost z pieca, jest bardzo niezdrowy: więc i takby go nam nie wydano, chociażby droga z piekarni była niedaleka...

— No, a nie pomyśleliście jeszcze o tem, że to dopiero mamy żniwa, więc na mąkę użyto zboża z zeszłorocznych zbiorów. Jak to w wojsku musi być wszystko obmyślane i przygotowane zawczasu, aby niczego nie zabrakło do nowych zbiorów; a przecie przed rokiem wojny jeszcze nie było!... A policzcie sobie, ile też tego chleba potrzeba dla całego wojska, a choćby tylko i dla naszego pułku, jeżeli na samą naszą drużynę wydaje się dziennie $9\frac{1}{2}$ bochenków, ważących razem około 15 kilogramów.

— I to tak codziennie idzie? — wtrącił ktoś z przysłuchujących się zboku.

— A pewnie; przecież codzień musisz natchać swój brzuch! Więc i codziennie tabory krążą i rozwożą. Ba, aby nadażyć, muszą się dzielić na części — jedne pobierają, inne oddają nam to, co pobrały wczoraj, a jutro będzie naodwrot. Gdy stoimy gdzieś blisko kolei, to tam jest trochę prościej, bo sam tabor pułkowy pobiera chleb i żywność wprost ze stacji zaopatrywania, czy magazynów intendenty. Ale gdy pójdziemy jeszcze dalej, to trzeba będzie samochodami wozić to wszystko od kolei do nas, bo tabory konne nie nadażą taki szmat drogi codziennie przemierzać. A może kiedyś przydziela nam i taką wojskową „piekarnię polową”, co ze sobą swoje piece wozi. Różnie to bywa, różnie krzątać się musi intendenty, byle tylko wojsko nie zaznało głodu.

— A skąd ty to wszystko wiesz?

Pazyra się uśmiechnął:

— E, cóż w tem dziwnego! Byłem przecież w szkole podoficerskiej, uczyłem się różnych rzeczy. A i potem słyszało się to i owo, mam jednego kolegę, który pracuje w kancelarji oficera żywnościowego pułku. I w eskorcie przy taborach byłem już kiedyś i tak się zebrało trochę różnych wiadomości. Gdy posłuzycie tyle, co ja, to też nie będziecie się temu dziwili. Wiem ci ja jeszcze wiele innych ciekawych rzeczy, ale o nich pogadamy sobie już innym razem.

HISTORJA ŁYŻKI CIEPŁEJ STRAWY.

Podobało się strzelcowi Klusce, że ma takiego mądrego przyjaciela, który tyle i takich ciekawych rzeczy wie. Chciał go zapytać jeszcze o wiele, czego sam nie mógł wyrozumieć, ale jakoś i czasu nie było i niebardzo śmiał: bo oto starszy strzelec Pazyra dzielnie się spisał na jednym patrolu i został mianowany kapralem i nawet odrazu otrzymał dowództwo drużyny po rannym plutonowym Malinowskim. Choć nie stronił od swych kolegów i nie wywyższał się, aleć zawsze te dwa paski onieśmiały ich trochę...

Pewnego dnia wypadł odpoczynek. Było właśnie ładne, słoneczne południe, takie, wiecie, przedjesienne, z nitkami babiego już lata. Kuchnia dopiero co odjechała, a żołnierze, wygodnie się rozłożywszy na jakimś podwórzu gospodarskim, kończyli obiad.

Milczenie przerwał oczywiście pan kapral.

— No, Jasiu, jak ci smakowała repeta?

— A i bardzo! Jak to dobrze, że dziś taki spokojny dzień i człowiek może bez pośpiechu wciąć łyżkę ciepłej stawy...

— No, tak naprawdę — toś zjadł nie jedną łyżkę, a chyba ze sto; sam widziałem, żeś ze dwa razy repetę dobierał. Niech ci tam idzie na zdrowie.

— Panie kapralu, chciałbym się dowiedzieć czegoś o tem, jak się to dzieje, że codziennie (choć niezawsze o jednej porze) mamy tu na wojnie tę ciepłą strawę? — zapytał strzelec Socha.

— A to pewnie, panie kapralu, tak jak z tym chlebem — wtrącił strzelec Goldberg, który zawsze się chwalił, że jest w całej kompanji najdomyślniejszy i wszystko zawsze wie.

— Podobnie to jest, ale nie zupełnie. Bo pomyślcie sami — ile to i czego było potrzeba ot chociażby do ugotowania dzisiejszego obiadu.

— Dzisiaj na obiad był barszcz i porcja mięsa z fasolą na gęsto. Na to trzeba było: buraków, ziemniaków, mięsa, fasoli... aha jeszcze też i słoniny na okrasę...

— Zapomniałeś o soli, occie, mące do zaprawy — dodał Kluska.

— A widzicie! A przecież, oprócz tego, rano dostaliśmy kawę, zaś wieczorem też coś ciepłego dostaniemy. Z chlebem to była rzecz prosta: można go było upiec gdzieś daleko na tyłach, a potem, gotowy już do jedzenia, zapakować na wagony czy wozy i dowieźć nam. Ale pomyślcie sami, czy można tam na tyłach ugotować zupę albo upiec pieczeń jaką i potem wieźć dziesiątki lub setki kilometrów za nami? Przecież jednoby skwaśniało, drugieby się zepsuło, a w każdym razie żadne jedzenie nie

zachowałoby dobrego smaku, ani wartości odżywczej. Tutaj, ta intendentura, o której mówiłem wam już poprzednio, musi sobie radzić inaczej. Ale jak, kto wie?

— Trzeba kupić wszystkie te ziemniaki, kasze, buraki i t. d. w kraju i przywieźć za nami, a potem wydać kuchni, żeby ugotowała...

— Ale co ty tam, Kluska wiesz!... pocóż kupować w kraju, kiedy takich ziemniaków czy buraków pełno i tutaj? Pewnie pułk kupuje sam. Tu już intendentura nie ma nic do roboty, najwyżej dawać pieniądze — sprzeciwił się Goldberg.

— Dobrze mówi Kluska — wtrącił się strzelec Mędrak — przed wymarszem na front byłem na przepustce w domu i sam widziałem, jak u ojca i innych gospodarzy intendentura skupowała ziemniaki. A młodszego mego brata wzięli na podwody i cały dzień woził to do magazynów w mieście.

— Nie kłóćcie się, bo każdy z was ma trochę słuszności! Strzelec Kluska dobrze powiedział, że intendentura musi w kraju kupować produkty (albo jak się inaczej nazywa: artykuły spożywcze) i zaopatrywać w nie wojsko taką samą drogą jak w chleb. Ale i to trzeba wiedzieć, że tych artykułów jest bardzo dużo, potrzeba więc dla nich dużo miejsca w magazynach i dużo środków przewozowych. Przecież samych ziemniaków wydaje się bezmała kilo-

gram na twarz codziennie, a ile innych produktów! A pasza dla koni, a opał dla kuchni! Razem na pułk potrzeba tego wszystkiego ładne kilka tysięcy kilogramów, starczy na duży wagon kolejowy albo ze dwa dziesiątki wozów dobrze wyładowanych. I dlatego strzelec Goldberg ma słuszność, mówiąc, że nie należy przywozić zdaleka tego, co można dostać tu na miejscu, gdzie stoimy, w okolicy, przez którą przechodzimy, lub w pobliżu frontu: oszczędza się wtedy na czasie, na pracy ludzkiej, na środkach przewozowych, a więc i taniej wypada. Dobrzeście to obliczyli, widać, żeście w cywilu kupcem byli. A może w takim razie powiecie jeszcze, dlaczego musimy kupować, co się da, na miejscu?

— Żeby nieprzyjacieli tego nie zabrał...

— No, dlaczegoż zaraz mamy oddawać nieprzyjacielowi? Wiele zapasów mogłoby też, na ten przykład, ulec zniszczeniu od pożaru, o który tak łatwo tam, gdzie tyle pocisków i bomb lotniczych pęka codziennie. Widzicie, wojsko postępuje tak jak dobry gospodarz: to co ma daleko w kraju, co jest najbardziej zabezpieczone stara się trzymać jak najdłużej, jak to się mówi zachowując „na czarną godzinę”, a zużywa najpierw rzeczy gorzej zabezpieczone, to co jest pod ręką, na froncie i w pobliżu niego, czyli w obszarze etapowym.

— A widzisz, Mędreku, a nie mówiłem!...

— Zaraz, zaraz... niezawsze wszystkiego się tu dostanie: może nieprzyjaciół wyniszczyć odchodząc (jakeście to widzieli sami w zeszłym tygodniu, że wszystko naokolutko było spalone), a może i okolica jedna czy druga okaże się tak biedna, zwłaszcza na przednówku, że nie będzie można kupić; wtedy prawie wszystko musi intendentura wysyłać nam z kraju, ze swoich zapasów. I dlatego właśnie kupowała te ziemniaki od Mędrkowego ojca.

— Ba, ale jak to wszystko teraz pogodzi się ze sobą?

— Ano, na to właśnie intendentura musi mieć tęgie głowy — dobrych gospodarzy. Tak jak mąkę, magazynuje ona i wszelkie inne produkty w wielkich składach w etapach, za frontem. A jednocześnie prowadzi wywiad, co i gdzie w pobliżu frontu można dostać. No i tylko to, czego brak albo czego się nie opłaci nabywać na miejscu, wysyła do nas znaną już wam drogą: na stację zaopatrywania, skąd tabory dywizyjne wiozą na punkt rozdzielczy i oddają taborom pułkowym. Na resztę przekazuje się pieniądze w gotówce, z nakazem wykorzystania zasobów miejscowych, czyli poprostu zakupienia na miejscu lub w najbliższych okolicach. Zakupem zajmuje się intendentura dywizyjna albo oficerowie żywnościowi pułku i bataljonów. Tak więc dzisiaj 21 sierpnia jedliśmy słoninę, fasolę i t. p., które

zapewne w dniu 18 były pobrane przez dywizyjny tabor żywnościowy ze stacji zaopatrywania. Ale już buraki i ziemniaki, tak samo jak siano dla koni a opał dla kuchni, to pewnie kupił nasz bataljonowy oficer żywnościowy wczoraj w jakimś pobliskim dworze, tam gdzie stał na noc pułkowy tabor żywnościowy.

Teraz, jak już wiecie, skąd się wzięła żywność na froncie, popatrzcie, co się dalej z nią dzieje, zanim dostaniemy zupełną kawę do naszych menażek. Otóż naszych kucharzy właściwie nic nie obchodzi, że to pochodzi z kraju, a tamto z zakupu: wszystkie artykuły żywnościowe, już zebrane razem, przywozi tabor żywnościowy do punktu wydawania; zwykle, jak już mówiłem, dzieje się to wieczorem. A dlaczego wieczorem? Kto wie?

— Pewnie, że to niby za dnia koło walczących oddziałów niebezpiecznie — lotnicy latają, artylerja strzela.

— Oczywiście: i namby przeszkadzali. zbyt blisko nas się płacząc, i sami łatwo mogliby coś oberwać, a skutkiem tego byłoby, że częściej zostawilibyśmy bez kolacji czy obiadu. Otrzymałą żywność dzieli znów podoficer żywnościowy, ale inaczej: to na śniadanie, tamto na obiad, a reszta na kolację. To, co ma być gotowane zaraz, wkłada się do kotłów kuchni polowej, reszta idzie na wóz przykuśchenny.

— Dobrze to takiemu kucharzowi, ten nigdy nie jest głodny!... — wtrącił półgłosem znany „repeciarz”, strzelec Janik.

— No tak, głodu to on nie zazna! Ale praca jego jest ciężka: każdy posiłek trzeba na czas ugotować, wciąż trzeba uważać, aby się nie zgubić od innych kuchen (bo zwykle w marszu i na postoju kuchnie z całego bataljonu trzymają się razem). A przedewszystkiem muszą zdążyć na oznaczony czas do swojej kompanji, aby nam dać po naszej ciężkiej pracy tę łyżkę ciepłej strawy. Nie jest to takie łatwe, jakby się komuś zdawało: i w marszu trzeba gotować, i w nocy często, i do kompanji nieraz trudno dojechać, gdy kuchnia ugrzęźnie gdzieś na wyboistych drogach lub w błotach. A chytry nieprzyjaciel też potrafi w takiej właśnie chwili ostrzeliwać jakiś mostek czy wąwóz, przez który koniecznie przejść muszą kuchnie, aby się dostać do nas, a innej drogi niema.

— Panie kapralu, a skąd się bierze mięso?

— Właśnie miałem wam to jeszcze powiedzieć. Z mięsem jest znowu inaczej: prędko się psuje i żeby gotowe można było przywieźć z kraju, trzeba by je było umyślnie zamrażać, co i trudne, i kosztuje, a poza tem wymaga używania odpowiednich wozów. To też zwykle intendentura dywizyjna prowadzi oborę, z której stopniowo bydło idzie pod nóż w rzeźni dywizyjnej, a wzamian kupuje się znowu





Ryc. 1.

Na tej rycinie widzimy u dołu kuchnię, wiozącą wieczerzę do oddziałów. Przez sąsiednią wioskę przechodzi pułkowy tabor żywnościowy, wiozący żywność na dzień jutrzejszy; dołączają doń wozy z opałem z lewej, mięsem, świeżą jarzyną z prawej. Dalej widzimy pociąg żywnościowy, zbliżający się do stacji. Jeszcze dalej widnieją wielkie magazyny żywnościowe wojska, przy których dymią kominy młyna parowego i do których pociągi i wozy dostarczają nowe zapasy.

żywe bydło. Ubój odbywa się zwykle wieczorem lub w nocy, gdzieś niedaleko na naszych tyłach. Mięso zabiera dywizyjny tabor mięsny (są to takie wozy kryte, w których na hakach wieszka się ćwiartki mięsa) i w oznaczonym miejscu wydaje naszym pułkowym wozom mięsnym, a te dołączają się do tej części taboru żywnościowego, która ma w tym dniu wydawać żywność do kuchni na punkcie wydawania. Tak więc bydlątko, z którego dziś, 21 sierpnia, jedliśmy porcje mięsne, zostało zabite poprzedniej nocy, czyli z 19 na 20, a już wczoraj wieczorem, 20-go, mięso to było w kuchni. No, ale teraz to już chyba wszystko wam opowiedziałem.

— Bardzo dziękujemy!...

Ale Kluska jeszcze miał coś do wyjaśnienia.

— A jabym chciał jeszcze wiedzieć, poco my nosimy ciągle te blaszane pudełeczka? Bo mówili chłopaki, że tam jest jakieś bardzo smaczne jedzenie, a jednak pan szef wciąż przypomina, że otwierać tego nie wolno.

— Dobrze, żeś i o to zapytał. To są, widzicie, zapasowe (albo: rezerwowe) porcje żywności. Intendentura wciąż się o nas troszczy, więc musi się z tem liczyć, że może kiedyś i taki dzień wypadnie, iż nic nie będzie mogła nam dostać: czyto z powodu odległości, czy złych dróg lub walki; no i tabor może być odcięty, albo i zniszczony. Te więc blaszanki zawierają

żywność, przechowywaną „na czarną godzinę”. Są tam suchary i konserwy: mięsne i kawowe. Są one takie same mniej więcej, jak te, z których się robi kawę na śniadanie, a mięsne też znacie, bo już nieraz zamiast świeżego mięsa były w gulaszu. Wszystko to jest tak zrobione i przygotowane, że może się długi czas przechowywać bez zepsucia. Nikt nie wie, co jutro wypadnie, szczególnie na wojnie, więc też każdy z nas musi pilnie strzec tej porcji, bo może go kiedyś wyratować od wielkiego głodu. I dlatego to, aby ktoś lekkomyślnie nie zużył zapasowej porcji, nie wolno jej otwierać bez rozkazu przełożonego. Wyjątkowo może ją zużyć żołnierz, który został odcięty od oddziału i przez dłuższy czas nie może powrócić do swoich, a nie ma innego sposobu wyżywienia się. Ale po powrocie do kompanji trzeba o tem zaraz zameldować drużynowemu i szefowi i prosić o wydanie nowej porcji na miejsce zjedzonej. Na początku wojny niejeden młody żołnierz zjadł swoją porcję, a potem płakał z głodu. O, i waszemu starszemu koleździe, strzelcowi Janikowi to się przydarzyło: nie mógł ten głodomór wytrzymać i zjadł konserwy. A w kilka dni potem zabłąkał się w czasie nocnego marszu przez las i 2 dni szukał o głodzie swej kompanji. Dziś, chociaż żarłok, ale porcji rezerwowej strzeże jak oka w głowie?... Prawda, Janik?

W tej chwili rozległ się sygnał „lotnik nieprzyjacielski!”.

W jednej chwili podwórko opustoszało, jakby kto wymiotł, a za rozbiegającymi się strzelcami pogonił okrzyk kaprała: „Macie szczęście, że się ten nie pośpieszył trochę i nie przyleciał, jak stała tu jeszcze kuchnia. Jakby tak rzucił kilka kluseczek do kotła — mielibyście wy wtedy łyżkę ciepłej strawy!”.

HISTORJA KILKUNASTU NABOI.

Coś się popsuło w stosunkach koleżeńskich, czuł to wyraźnie kapral Pazyra. Nie rozumiał, o co chodzi, ale wyraźnie widział, że wielu strzelców w ostatnich dniach jawnie stroni od niego.

Właśnie zauważył rozmawiających strzelców Kluskę, Janika i innych, więc podszedł do nich. Rozmawiający odrazu umilkli. Nie pomogło kilka żartów kaprała, zapytał więc wprost:

— Cóż u licha, chłopcy, patrzycie na mnie od kilku dni, jakbym któremu matkę zamordował?

— My nie!... Ależ nie takiego!... — posypały się zapewnienia.

— Nie zawracajcie głowy! przecież widzę, co się święci... Zdaje się, że nikogo nie skrzywdziłem, więc co się wam stało?

Chwilę trwały szepty. Wreszcie wystąpił strzelec Socha:

— To już ja powiem, panie kapralu. To było akuratnie we wtorek, jak było takie wielkie natarcie... to wtedy zdobywaliśmy tę wioskę właśnie... co to przed nami dostała w niej po skórze czwarta kompanja... i leżało kilku zabitych...

— A cóż to ma do rzeczy?

— A to właśnie, panie kapralu, niby, że... że się pan kapral zatrzymał coś przy tych zabitych... i...

— Aha! i niby myszkowałem, obdzierałem trupy, co?!...

— Tak jest, panie kapralu, niby tak właśnie mówiono...

— Oj głupi, głupi ludzie!... Sam nie wiem, czy się śmiać, czy gniewać o tak krzywdzące posądzenie!... Czyż nie było najprostszą rzeczą zapytać mnie o to?...

— Ano, niby tak... ale jakoś było nam nijako o tem mówić...

— Zanim to wam wytłumaczę, powiedz mi, Jasiu — zwrócił się do strzelca Kluski — ile ci dałem naboí, jakeśmy wyszli już z tej wsi, a wyskoczyła na nas kawalerja nieprzyjacielska? coś ze 30 sztuk, prawda?

— Oj, prawda!... nie miałem już czem strzelać i miałem pietra o swoją skórę...

— A Janikowi ile dałem?

— 15 naboí... w sam czas poratował mnie pan kapral, bo i ja już miałem puste ładownice...

— No widzicie!... a jeszcze dałem po kilka naboí także innym strzelcom; razem rozdałem kilkadziesiąt sztuk, prawda? A przecież i przedtem, i potem jeszcze też sam strzelałem nie mało. Skądżeż miałbym tyle naboí, jeżeli mam tylko 2 ładownice i rano przy rozpoczęciu natarcia miałem w nich tylko 60 naboí, no, pomyślcie sami? No, powiedz, Kluska!

— Ja nie wiem... aha!... to pewnie od tych tam zabitych...

— Oczywiście, że od nich!... Cóż wy sobie myślicie, do stu piorunów, że złota jakiego szukałem albo że to przyjemność wsadzać rękę do ładownic zabitego kolegi?! Oj głupi, głupi!... Mało się dotąd strzelało, nie odczuwaliście braku amunicji — toście i zapomnieli o tem, czego was kiedyś uczono, że należy zabierać od rannych i zabitych naboje, granaty i t. d. Zrozumieliście teraz, jak to było, jak nieśluszne było posadzenie wasze?...

— Tak jest!... — Bardzo przepraszamy!... — krzyczał jeden przez drugiego z uczuciem ulgi, bo kapral był naprawdę lubiany i było im przykro tak źle o nim myśleć.

— Pamiętajcie więc na przyszłość, że nigdy nie należy sądzić pochopnie! A jak czegoś nie wiecie albo macie jakąś wątpliwość, to najle-

piej odrazu, otwarcie i szczerze zapytać... No, jak już się zgadało o tych nabojach, to może mi ktoś powie, skąd się bierze i jak się dostaje do nas amunicja?

— Pewnie wyrabiają to w fabryce... — zaczął Kluska.

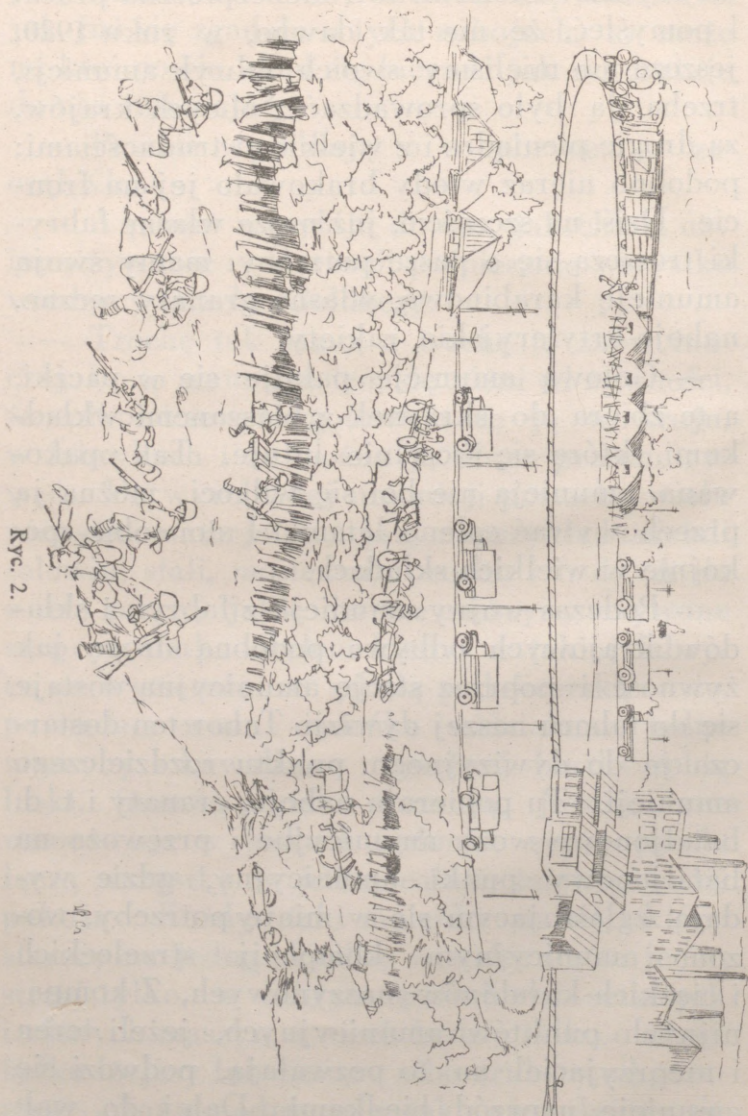
— A potem wysyłają do nas, jak chleb, czy inną żywność — dorzucił pośpiesznie wszystko wiedzący strzelec Goldberg.

— Trochę tak samo, a trochę to znów inaczej. Bo to amunicja tem się różni od żywności, że całkowicie przygotowuje się ją w kraju, w fabrykach i że można ją długo przechowywać. Do wyrobu tej amunicji potrzeba wielu różnych materiałów, jak na przykład metali (ołowiu, stali, mosiądzu), prochu i t. d. A ile z tem pracy, jakie dziwne maszyny używane są przy tem!... Byłem kiedyś w takiej fabryce na wycieczce ze szkołą podoficerską — to, powiadam wam, cudeńka widziałem: jedne maszyny z kawałków mosiężnej blachy robią łuski, inne — pociski formują, jeszcze inne umocowują w łuskach spłonki, sypią proch, łączą wszystko w jedną całość, mierzą, ważą, pakują. Każdy taki maleńki nabój, który starczy na jedną chwilkę w walce — na jeden strzał tylko, w fabryce przechodzi setki rąk i różnych maszyn, a niech będzie tylko o zdziebelko lżejszy lub cieńszy albo grubszy od przepisu — już go odrzucają, jako nienadający się

do użytku. Ciekawa to i niebezpieczna praca. I pomyśleć, że, nie tak dawno, w roku 1920, jeszcze nie mieliśmy swoich fabryk amunicji, trzeba ją było sprowadzać z obcych krajów, za drogie pieniądze i z wielkimi trudnościami; podobno nieraz wtedy brakowało jej na froncie. Dziś, na szczęście, już nasze własne fabryki troszczą się o nasze potrzeby: mamy swoją amunicję karabinową, własne granaty ręczne, naboje artyleryjskie, rakiety.

— Gotową amunicję pakuje się w paczki, a te zbiera do skrzynek z blaszanymi wkładkami, które się szczelnie lutuje. Tak opakowana amunicja nie boi się wilgoci, można ją przechowywać całymi latami. I stoi sobie spokojnie w wielkich składach.

— Podczas wojny amunicja z fabryk i składów krajowych odbywa podobną drogę jak żywność i poprzez stację amunicyjną dostaje się do taboru naszej dywizji. Tabor ten dostarcza ją do dywizyjnego punktu rozdzielczego amunicji. Tu pobierają naboje, granaty i t. d. bataljonowe wozy amunicyjne i przewożą na bataljonowy punkt amunicyjny, gdzie wydają, zgłaszającym się w miarę potrzeby, wozom amunicyjnym kompanij strzeleckich i ciężkich karabinów maszynowych. Z kompanijnych punktów amunicyjnych, jeżeli teren i nieprzyjaciel na to pozwalają, podwozi się amunicję naprzód biedkami. Dalej do wał-



Ryc. 2.

Tu widzimy walczącą piechotę. Jeden ze strzelców zabiera naboje zabitego kolegi. Wykorzystując teren, przemykają się nosiciele amunicji ze skrzynką naboii. Nieco dalej mijają się biedki amunicyjne. W tym folwarczku na lewo za lasem mieści się dywizyjny punkt rozdzielczy amunicji, skąd wozy amunicyjne dostarczają nam skrzynki z nabojami, a nowy zapas ich wiozą już ze stacji samochody. Daleko gdzieś w kraju dymią kominy wielkiej fabryki; gotową amunicję przechowuje się w pilnie strzeżonych magazynach, skąd w miarę potrzeby wysyłana jest pociągami na front.

czących drużyn, a często już od samego punktu amunicyjnego kompanji trzeba dowieźć skrzynki z nabojami w rękach; wykonują to nosiciele, wyznaczeni przez dowódców kompanij i plutonów — widzieliście to niedawno — bo i nam, na przykład, przynieśli po tej walce z kawalerją też 2 skrzynki z nabojami i 1 z granatami, pamiętacie?

— Pamiętamy... był tam Nowak z trzeciego plutonu i ten piegowaty, jakże mu tam...

— Jak jest gorąca walka, to taki ruch od jednego punktu amunicyjnego do drugiego idzie prawie bez przerwy: co który wóz amunicyjny kompanji się opróżni, to już śpieszy do bataljonowego punktu po nowy zapas; amunicja jest ciężka, wiele naraz nie zabierze. A i uważać trzeba, zwłaszcza jak się jedzie po otwartem polu, bo to i daleki ogień może się trafić albo i lotnik nieprzyjacielski; taki woźnica musi wykorzystywać teren, tu przemknąć pod zasłoną, tam pokłusować, czasem nadłożyć drogi, aby nie jechać po otwartem... No, bo jak taka bomba lotnicza wyrznię w skrzynkę z granatami na ten przykład, to już tam wiele nie będzie do zbierania z wozu, woźnicy i jego koni!. Oczywiście, gdy niema większej walki, gdy się wystrzela przez dzień po kilka czy kilkanaście naboji to brak wyrównuje się tylko z plutonowej biedki. Dopiero wieczorem, gdy najłatwiej podwieźć lub przy-

nieść amunicję, uzupełnia się wszystkie braki w ładownicach strzelców, taśmach karabinów maszynowych i na wszystkich wozach amunicyjnych kompanij oraz bataljonów. A znowuż gdy ma być długotrwała obrona, to się robi w różnych miejscach, w okopach, w dobrze zabezpieczonych schronach składy amunicji. Kto wie dlaczego?

— W obronie zużywa się bardzo dużo amunicji, zwłaszcza dla broni maszynowej; wozy nie nadążyłyby dowozić, a i trudno byłoby się dostać do nich z tą amunicją pod ogniem nieprzyjaciela.

— Zupełnie dobrzeście to wytłumaczyli, Socha. No, a jeszcze jaka jest różnica między amunicją a żywnością?

— Jeść trzeba codziennie, a strzelać — nie zawsze...

— Oczywiście. Czasami po kilka dni nie wystrzeli się ani jednego naboju, ale zato innego dnia i setki ich nie wystarczą na karabin. Otóż to! I dlatego trzeba się zawsze starać, aby mieć pełny, przepisowy zapas amunicji przy sobie i stale go uzupełniać przy każdej sposobności; dlatego to trzeba zbierać naboje od rannych i zabitych. Nikt nie wie na wojnie, co go czeka, co przyniosą nawet najbliższe godziny i czy w nagłej potrzebie będzie skąd uzupełniać braki; więc najpewniejszy zapas to ten,

co go masz przy sobie. Wystrzelać to bardzo łatwo, nawet w ciągu godziny, ale co potem?

— Bo i ta jeszcze jest różnica między żywnością a amunicją, że bez jedzenia można wytrzymać nietylko wiele godzin, ale i 1—2—3 dni nawet!... Ale gdy zabraknie naboju, „głodnego” karabina czy armaty palcem nie zatkaszesz, niczem nie oszukasz.

— Pamiętajmy więc zawsze, że amunicja jest rzeczą drogą, że trzeba ją uzupełniać przy każdej sposobności, ale też i oszczędnie używać, bo marnotrawstwo takie może się zemścić w straszny sposób, przynosząc śmierć, kalectwo, a najczęściej niewolę!...

— No, teraz to doskonale zrozumiałem — i... już nigdy nie będę strzelał do wrony... jak to było przedwczoraj... Jak sobie pomyślałem, że tyle ludzi pracowało nad takim jednym nabojem... i że taki mały nabój może mi życie uratować... to dopiero zrozumiałem, jaki byłem głupi marnując tych kilka naboju wtedy... — przyznał się strzelec Janik.

Inni nie powiedzieli, ale każdy pomyślał coś podobnego...

HISTORIA ŁOPATY, DRUTU KOLCZASTEGO I RANNEGO KONIA.

Niedługo trwał odpoczynek po ciężkiej bitwie. Już trzeciego dnia zerwano nas! Po całonocnym marszu zatrzymaliśmy się w małym

łasku na postój. Przywieziono śniadanie. Oficerowie wyjechali gdzieś naprzód.

— Pociąg tu przyszedł?... co z tego będzie?... pytali strzelcy jeden drugiego, grzejąc się w promieniach wschodzącego jesiennego słońca.

— Ano, widzi mi się, że coś pachnie obro-
ną... powiedział ktoś.

— Też masz pomysł, oburzył się Kluska. Toż ciągle biliśmy ich, aż się kurzyło! A i ci, co nas zmienili, też poszli naprzód. Od paru dni nie słyszeliśmy ani jednego strzału armatniego. Przeciw komu będziesz się tu bronił?

— A jednak możliwe, że strzelec Socha ma dobrego nosa. Żleby było, gdyby wtedy myśleć o obronie, gdy nieprzyjaciela masz na karku. Aby się przygotować dobrze do obrony, na to trzeba trochę czasu i dużo różnych środków oraz pracy ludzkiej.

Nie długo trwały domysły. Dowódca kompanji przysłał chorążemu rozkaz, żeby prowadził kompanję na pobliskie pagórki. Goniec nadmienił, iż słyszał, jak była mowa o przygotowaniu się do obrony. Wiadomość ta szybko rozeszła się po kompanji.

— A widzicie!... — Socha triumfował.

— Oj, to niedobrze... to jakieś nieszczęście!... zmartwił się Goldberg... i co teraz będzie?

— Nie gadajcie głupstw, skarcił go kapral Pazyra. Dlaczego zaraz ma być nieszczęście,

czy niepowodzenie? Czy dobry gospodarz dopiero wtedy zamyka gospodarstwo na klucz, kiedy widzi nadchodzącego złodzieja? Może to będzie tylko taka zapasowa pozycja, urządzona na wszelki wypadek. A może i naprawdę będziemy się tu bronić, aby dowództwo mogło zebrać większe siły gdzie indziej i tam wywalczyć zwycięstwo. Pamiętacie, jak pan kapitan opowiadał 15 sierpnia, co to było w 1920 roku: część wojska broniła się w okopach pod Warszawą, a dzięki temu Pan Marszałek zebrał siły i, jak uderzył na bolszewików, to już się nie oparli, aż za granicami Polski! Bo to musicie wiedzieć, że do obrony jakiegoś okopu czy wioski dużo mniej trzeba ludzi, niż do ich zdobycia, więc okopy, przeszkody — to nasi sprzymierzeńcy; czynią oni naszą broń skuteczniejszą i tem samem jakby zdwajają nasze siły... Zresztą nie nasza to rzecz mędrkować: skoro taki jest rozkaz, widocznie tak a nie inaczej musi być!... Naszą rzeczą jest dobrze wykonać każdy rozkaz!

Nie minęło i pół godziny, jak już wydane zostały rozkazy: plutony i drużyny rozeszły się po terenie i przygotowały się do pracy: złożono tornistry i wszystko, co krępowałoby ruchy; karabiny maszynowe ustawiono gotowe do strzału. Dowódca kompanji zwołał wszystkich podoficerów na odprawę.

— Jak to będziemy kopali te okopy? — troszczył się młody ochotnik, świeżo przybyły z kompanją marszową, Miłosz. Przecie taką małą łopatką dużo nie nakopimy przez dzień, bo i grunt widzi mi się twardy i kamieni w nim coniemiarą...

— A gdzie drut na przeszkody? dopytywał Goldberg.

Wrócili podoficerowie, zarządzili zbiórki drużyn. W tejże chwili nadjechało kilka wozów, naładowanych różnemi narzędziami. Dowodzący niemi sierżant saperów szybko wydał drużynowemu kilkanaście dużych łopat, kilka oskardów i 2 siekiery. Łopaty były różne: część nowiutkich, jednakowych — rzekłbyś żołnierze na paradzie, inne jednak były jakieś odmienne: ta szeroka, tamta zbyt wąska, a trzonki takie pokraczne, że złość zebrała Sochę:

— Poco mamy brać, panie kapralu, takie liche łopatki? lepiej niech nam dadzą wszystkie dobre i nowe.

— Widzicie go, wmieszał się sierżant saperów. Každyby tak chciał.. Ale tyle tego nie mamy, trzeba wszystkich obdzielić porówno. Musicie wiedzieć, że my nie możemy ciągle ze sobą wozić tak wiele narzędzi. Te nowe, to są właśnie z naszych wozów, z kolumny saperkiej. A te drugie tośmy dziś przez całą noc zbierali, czyli rekwirowali po okolicznych wio-

skach. A że okolica biedna, tośmy musieli brać wszystko, co się pod rękę nawinęło.

— Ale, panie sierżancie, ten tu trzonek to się zaraz ułamie.

— To trudno, macie przecież siekiery; utnijcie sobie brzózkę na nowy trzonek; z temi słowami sierżant odjechał do następnej drużyny.

Szybko rozdzielono narzędzia i wzięto się do pracy. Na każdego strzelca wypadło po 1 dużej łopacie, a innych narzędzi po jednym na każdych dwóch lub trzech ludzi, aby sobie pomagali, jak się trafią kamienie, wielkie korzenie i tak dalej.

Takimi narzędziami kopie się o wiele lepiej niż małą łopatką piechoły. To też szybko zaczęły wyrastać stanowiska broni maszynowej, doły strzeleckie.

Tymczasem przed linią budujących się okopów ukazało się sporo saperów i kompanja z innego bataljonu naszego pułku — coś tam mierzyli, oglądali. Jednocześnie przybyło dużo wozów, które szybko zaczęły rozwozić jakieś drągi, duże i małe. Składano je w kupki w różnych miejscach, według wskazówek saperów. Drągi te i kolki, pod uderzeniami wielkich drewnianych młotów, śmigających w sprawnych rękach saperskich, ustawiały się w karne szeregi...

Daleko jeszcze było do obiadu, gdy znowu zjechały na pole wozy, przywożąc tym razem

wiele zwojów drutu koleczastego i kilka zwojów gładkiego. A w tym samym czasie inne zwoziły i składały w różnych miejscach belki, deski oraz inne materiały budowlane.

Jeden z takich wozów zatrzymał się w pobliżu naszej drużyny. Po wyładowaniu budulca żołnierz-woźnica przyrzucił garść siana koniom, wyjął kawał chleba i zajadając przyglądał się pracy żołnierzy.

Jaki taki spojrzał ku niemu i dalej pracował. Obejrzał się też i strzelec Kluska i zdziwiony zawołał:

— A co tu wujek robi?

— A toż to Jasiak Kluska... chodźże siostrzeńcze. Skąd jestem? A to widzisz powołali i mój rocznik do wojska. A że niby już nie takie młode lata i nie taki gibki jestem jak wy, młodzi, a na koniach dobrze się znam (mam przecie 3 pary koni w gospodarstwie, chociaż teraz ostała się tylko jedna, bo dwie też zabrali do wojska...), więc wcielili mnie do taborów dywizji, w której ty służysz.

— I cóż wujek wozi?

— A wszystko, co trzeba — żywność, amunicję i tak dalej. Oj, harówka to wielka w tych taborach, nieraz tęsknię za służbą w piechocie! Niby spokojnie jedziesz na wozie, ale wciąż uważaj na drogę, na poprzednika, na konie: i na odpoczynek — karm, czyść konie; mówię ci, że samemu na ten odpoczynek nie wiele tam

czasu zostaje!... Patrz, dopiero wczoraj w południe wyładowaliśmy żywność i oddali do taborów pułkowych; mało-wieleśmy odpoczęli, a już musieliśmy jechać wieczorem na stację kolejową po ten drut koleczasty. Z drutem jechaliśmy, potem trochęśmy stali, ale ledwo się krzynkę zdrzemnąłem, jużemy znowu jechali. I tak całą noc... Przed 2 godzinami zwaliliśmy drut niedaleko stąd. Myślałem, że odpocznę, ale gdzie tam: kazano nam jechać do tej tu wioski, co ją widzisz przed nami. Tam się uwiija chmara robotników i wojska, rozbierają budynki, że to niby przeszkadzały wam strzelać. A co chałupę, czy stodołę rozwalą, to zaraz ładują na wozy i każą nam wozić do was...

— No, czas na mnie, podjadły sobie koniki odrobinę i ja też, to i do pracy trza się brać znowu.

— A skądżeż to wujek takie konie zdobył? jeden wielki, drugi mały.

— A to, widzisz Jasiu, do soboty miałem ładną parę, oba koniki były takie jak ten kary: piękne, choć już niemłode, dobrze mi służyły. Cóż kiedy licho nadało lotnika nieprzyjacielskiego — gałgaństwo strasznie zaciekle jest na tabory — i tylko patrzy, gdzieby nam szkodę zrobić, bombami obrzucić. Pokaleczył mi odłamkami Robaczka, trzeba było biedaka oddać do szpitala.

— Co? koń w szpitalu? — zaśmiał się Miłosz.

— A pewnie, przecie koń — stworzenie boskie, a przytem drogo kosztuje i o wyszkolonego konia trudno, więc nie można go marnować. Kazał mi pan porucznik odprowadzić konia z pierwszego zaraz postoju do dworu, gdzie był dywizyjny ambulans weterynaryjny, czyli coś jak izba chorych dla koni. Tam zbadali go dokładnie i pan doktor powiedział, że musi iść do szpitala, bo leczenie potrwa dość długo. Wróciłem więc bez Robaczka do osieroconej lizki. Ale wóz nie może stać bezczynnie, więc pan porucznik dał mi narazie tę oto chabetę, bo innych koni nie było... Jak przyjdzie uzupełnienie, to mają mi dać innego. No, ale zegnajcie, trzeba jechać...

Przerwa w pracy; trzeba zjeść obiad, który przywiozła kuchnia, ukryta przed wzrokiem lotników na skraju lasu. Tylko saperzy szybko rozciągają druty, przybijają je klamerkami do ustawionych poprzecznie drągów. Na oczach piechurów jedzących obiad wyrasta sieć płotów koleczastych, groźnych, pilnie odgradzających nasze okopy od strony, z której może podejść nieprzyjaciół.

Nikommu jakoś nie chce się mówić, każdy do brze zmachany pracą. Ale strzelec Janik kręci głową, myśli, aż wreszcie wypowiada głośno swoje wątpliwości:



Ryc. 3.

Ryc. 3.

Tu naprzędzie widzimy ludzi rozbierających budynek, który zasłaniał widok obrońcom i przeszkadzał w strzelaniu: Materiał z rozbiórki idzie na budowę schronów. Nieco dalej widzimy żołnierzy, kopiących okopy i budujących przeszkody z drutu kolczastego. Z wioski w głębi idzie nowa grupa cywilnych robotników do pomocy w przygotowywaniu obrony. W tym dworku na prawo mieści się ambulans weterynaryjny. Hen daleko wtyle jest stacja; dopiero co pociąg zostawił tam duży zapas drutu kolczastego, który zaraz załadowano na wozy i wysłano na budującą się pozycję. Z tej też stacji zostaną odesłane w głąb kraju konie, wymagające długiego leczenia.

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

— Przecież nikt nie wiedział aż do dzisiajszego świtu, że będziemy się przygotowywać do obrony. Jakżeż się więc stało, że i te łopaty, i drut, i to wszystko zdążyło na czas, ledwieśmy się wzięli do pracy?

— A kto wam powiedział, że nikt o tem nie wiedział? Oczywiście, nie wiedzieliście — ani wy, ani Kluska, ani ja, może i dowódca kompanji też nie wiedział, co będziemy dziś robili. Ale wyżsi przełożeni muszą patrzeć naprzód i wcześniej niż my, wiedzą, co ma być. Samiście słyszeli, jak było z narzędziami: jedne sape-
rzy stale wożą ze sobą, inne były w nocy re-
kwirowane. Widać, że co najmniej już w nocy wyszły rozkazy do dzisiejszej naszej roboty.

— A drut pobierali już wieczorem, dodał strzelec Socha.

— Tak, samiście słyszeli, co mówił wujek strzelca Kluski, że ten sam tabor, co zwykle wo-
zi dla nas żywność lub amunicję, teraz zwoził drut. A skąd się ten drut wziął tak napoczekaniu? Bo dowództwo, jak zapobiegliwy gospodarz, jest przewidujące i ma różne zapasy, nawet tego, co narazie wydaje się zbędne. Drutu długo nie potrzebowaliśmy, jednak przecież zawsze, gdzieś niedaleko za nami, najwyżej kilkadziesiąt kilometrów, na jakiejś stacji czy w miejscowości był skład drutu i przesuwano go za nami naprzód. Gdy teraz zaszła potrzeba, jedna noc, kilka godzin marszu taborów i już

druk jest na miejscu! A jednocześnie na rozkaz telegraficzny już nie jeden wagon pełny drutu biegnie do składu na odnowienie zapasu. Żeby to było, gdybyśmy musieli czekać na druk choćby tylko jeden czy dwa dni; zanim by go nam dowieziono, mogłoby być już za późno!

— O! panie kapralu, ale my to już chyba nie robić dzisiaj nie będziemy. Patrzcie, ile robotników i żołnierzy idzie z tej wioski, co ją rozbierano. Już są na naszych stanowiskach, patrzcie, patrzcie, ilu ich, pełno na całym polu!..

— Mylicie się, Miłosz... oni mają swoją pracę a my swoją. Te okopy, których mamy broń, musimy wykonać sami. A tamci teraz będą budowali różne połączenia wszerek i wzdłuż. Ci znów tutaj wezmą się pewnie zaraz do budowy schronów z tego drzewa, co to wuj Kłuski nazwoził wraz z innymi taborytami.

— A skąd tylu ich się wzięło, tych robotników cywilnych? skąd oni wiedzą, co i jak mają robić?

— A to, widzicie, też dowód, że wszystko przemyślane i przygotowane zawczasu przez dowództwo: jak tylko wyszły rozkazy i obliczono, że będzie zbyt wiele pracy do wykonania, którą nieprędko skończyłoby wojsko własnymi siłami, nakazano okolicznym gminom zebrać ludzi zdolnych do pracy, wraz z narzędziami. Podzielono ich na oddziały ro-

bocze, drużyny; do każdej przydzielono sapera jako przewodnika i kierownika robót: on ich uczy i rozdziela pracę według rozkazów swego dowódcy. Za swój trud robotnicy otrzymają wyżywienie (widzieliście te kuchnie, co to przed godziną szły do wioski, w której oni pracowali). Prócz tego dostaną niewielkie wynagrodzenie pieniężne. Jak się robota skończy, pójdą na inne miejsce albo zostaną odesłani do domu.

— No, ale dość gadania... i na nas czas już do pracy!

Zanim zapadł zmrok, pozycja nasza była rozbudowana nieźle: można się było już bronić. każdy strzelec miał dobre schronienie w okopie i oparcie do strzelania, cała broń była dobrze okopana, obsługi broni maszynowej miały już nawet małe schroniska z desek. Wszystko było tak zamaskowane, że na sto kroków nic prawie nie było widać z tych robót. A wiele jeszcze robót było zapoczątkowanych i przygotowanych.

A że nieprzyjacieli jeszcze nie zaraz nadszedł, bo dopiero po 2 dniach ujrzeliśmy go przed sobą, więc te 2 dni pracowaliśmy dalej gorliwie, a z nami wciąż i robotnicy cywilni. Nasza ładna pozycja, ze schronami i urządzeniami, spełniła swoje zadanie, połamał sobie na niej nieprzyjacieli zęby, ale ugryźć jej nie potrafił... A gryzł tak długo, aż gdzieś z tyłów otrzymali-

śmy nowe siły i poszliśmy naprzód do nowego wielkiego natarcia i przepędziliśmy wrogów daleko tam, skąd przyszedli...

HISTORIA TABOROWA.

Zanim jednak poszliśmy naprzód, wypadło nam przez kilka dni bronić tych właśnie okopów. Pewnego dnia zostaliśmy zmienieni przez inny bataljon i przeszliśmy do odwodu. Zakwaterowaliśmy się w jakiejś wsi, w pobliżu dowództwa dywizji.

Kapral Pazyra i nasi znajomi strzelcy, radzi z wypoczynku, zasiedli sobie wygodnie na przyzbie, grzejąc się w jesiennym słońku.

Wtem nadjeżdża jakiś obcy cyklista na dobrze zakurzoną rowerze. Mijając siedzących, poznaje kaprała i nawołuje radośnie.

— Serwus, Felek!

— Serwus, Władek! A ty tu skąd? dokąd się tak śpieszysz?

— Jestem z kompanii etapowej, wysłany z pilnym meldunkiem do dowództwa dywizji... Zaczekajcie tu na mnie, to może mi się uda znaleźć chwilę czasu na pogawędkę... I pojechał dalej.

— Co to za Władek? — zapytał strzelec Kluska.

— A nie pamiętasz to? chodził przecież z nami do szkoły powszechnej. A potem jego ojciec poszedł do miasta, do pracy w fabryce, no i je-

go też zabrał ze sobą. No, Rudym przeżywalismy go.

— Ach tak, prawda... Władek Lisiak!... Ale pocóż to on schował się do tych tam jakichś etapów? Nie mówię — wujek, chłop w latach, nie jemu z nami po polu uganiać, a pedałami ziemię przemierzać... Ale taki Władek, chłopak w naszym wieku, młody, zdrow....

— Nie bądź taki skory do osądzania, Jasiu... Przypomina mi się, że ten Władek zawsze był nieco chorowity. Pewnie więc dlatego i wzięli go do służby na tyłach. A zresztą, co tam robi, to się dowiemy, bo właśnie idzie w naszą stronę...

— Jak się macie, chłopaki, tyle lat nie widzieliśmy się... Pamiętacie te dobre czasy szkolne? Jak poszedł ojciec do fabryki, to i mnie oddał do terminu na szewca, ciężka to praca była, ale przecież się już na majstra wyzwoliłem... No a wy? Ho, ho — Felek, widzę — pan kapral. To może i gadać ze mną nie zechcesz?

— Nie wydziwiał, przecież chyba czujesz, żeśmy wszyscy bardzo radzi ze spotkania... Lepiej, jeśli masz trochę czasu wolnego, opowiedz nam, co ty tam robisz w kompanji etapowej?

— Chętnie, bo mam czekać na rozkazy, które zabiorę dla pana porucznika, dowódcy kompanji. Powiedziano mi w sztabie, że za 2 godziny zejdzie i dano kartkę, abym mógł otrzymać obiad w 7 kompanji...

— Ano, to doskonale, chodźmy razem, bo to nasza kompanja przecie... kucharze chyba tam jeszcze coś mają do żarcia, przecież repeciarze wszystkiego nie zjedli...

— Otóż zdrowie mi niebardzo dopisywało, dostałem kategorję „B” na poborze i miałem odroczoną służbę. Poszedłem do wojska dopiero z następnym rocznikiem, ale zawsze trochę coś tam dolegało... no i jak wybuchła wojna, to mię wyznaczili do tej kompanji etapowej.

Cały nasz bataljon pełnił służbę za frontem, na tych etapach: pilnowaliśmy różnych magazynów, to mostów, to jeńców, to znów prace robiliśmy różne, jak tam wypadło. Aż teraz, gdy na froncie nieprzyjacieli tyle tej kawalerji zebrał i była obawa, żeby gdzieś się nie przemknął na nasze tyły i jakiej szkody nie zrobił, to czasowo rozdzielono nas kompanjami do różnych dywizyj. Więc teraz strzeżemy taboru waszej dywizji.

— A cóż tam macie do pilnowania w taborach? wyrwał się Miłosz.

— No, pilnować to jest czego: jak się taka kolumna taborowa wyciągnie na szosie, to bezmała kilometr drogi zajmie. A jest ich przecież aż osiem i to rzadko kiedy się wszystkie razem zjedzą, a zwykle chadzają po dwie lub w pojedynkę: ta grupa po amunicję, tamte jedna i druga po żywność, inna po materiały saperskie i t. d.

— To tak właśnie mówił też i mój wujek, przytaknął Kluska.

— A jakże, znam go, jeździłem już nieraz na jego wozie, byłem nawet wtedy, jak mu Robaczka, niby konia jego, ranili. Jak się więc taka długa kiszka wyciągnie, a wozy obładowane przecie idą powoli, to łatwo jakiemuś oddziałowi, a nawet choćby i większemu patrolowi, zaskoczyć kolumnę gdzieś znieńacka, czy ostrzelać z krzaków i narobić bigosu.

Aby tego nie było, trzeba wciąż czuwać, ubezpieczać się, obserwować naprzód, na tyły i boki, a w powietrzu wypatrywać, czy się jaki lotnik nie ukaże. Oczywiście każdy taboryta ma broń, karabin z bagnetem, ma i amunicję, każdy umie strzelać, nieraz już dzielnie się obronili. Jednak w taborach niema zbędnych ludzi, każdy ma swój wóz i parę koni, czy jakąś funkcję wykonuje. Dlatego to, gdy może taborom grozić niebezpieczeństwo, przydziela się im czasem ochronę, niewielki oddział wojska: pluton piechoty albo i mniej nawet. Wtedy my ubezpieczamy, ostrzegamy wczas o nieprzyjacielu; dowódca ma czas przygotować się do walki, jedni taboryci będą pilnować koni, żeby się nie płoszyły, inni mają walczyć razem z nami.

— To samo i na postoju: taboryci są zajęci swemi końmi, czyszczeniem, karmieniem, czy naprawą wozów lub uprzęży, a i odpocząć mu-

szą po 10 lub więcej godzin trwających marszach. I znów najlepiej ubezpieczy postój taborów taki mały oddziałek piechoty, jak nasz. A cóż dopiero, gdy nie tylko jest to zwykły postój, ale odbywają się czynności przeładunkowe i wszyscy są zajęci przy swych wozach, wszyscy mają wiele pracy do wykonania i to wszystko szybko, na czas.

— Ot, dla przykładu, opowiem wam, jak mniej więcej wyglądało pobranie i wydanie tej żywności, z której ugotowano ten smaczny obiad, którymżeście mnie ugościli. Dwie kolumny taborowe, pod ochroną naszego plutonu, przemaszerowały rano jednego dnia na stację kolejową, która była wyznaczona rozkazem jako nasza stacja zaopatrywania w żywność. Stał tam już pociąg z żywnością. Pojedyncze wagony były podstawiane na różne tory, albo porozsuwane osobno, tworząc punkty wydawkowe. Był więc punkt wydawkowy chleba, w innem miejscu jarzyn, tam znów owsa, drobnej żywności (czyli tłuszcz, cukier, papierozy i przyprawy); a w jeszcze innem miejscu stał wagon ze smarami i materiałami pędnymi dla samochodów.

— A poco oni tak to porozstawiali? zapytał Miłosz.

— Zaraz to zobaczycie: jakby tak cały pociąg stał razem, trudnoby było pobierać naraz wszystkie artykuły. Albo więc zrobiłby się tłok

i zamieszanie przy pociągu i dopieroby lotnik nieprzyjacielski miał używanie, jakby tak zawitał (a oni lubią, bardzo lubią polować na takie gratki!), alboby trzeba było ładować wozy pojedynczo i toby trwało bardzo długo.

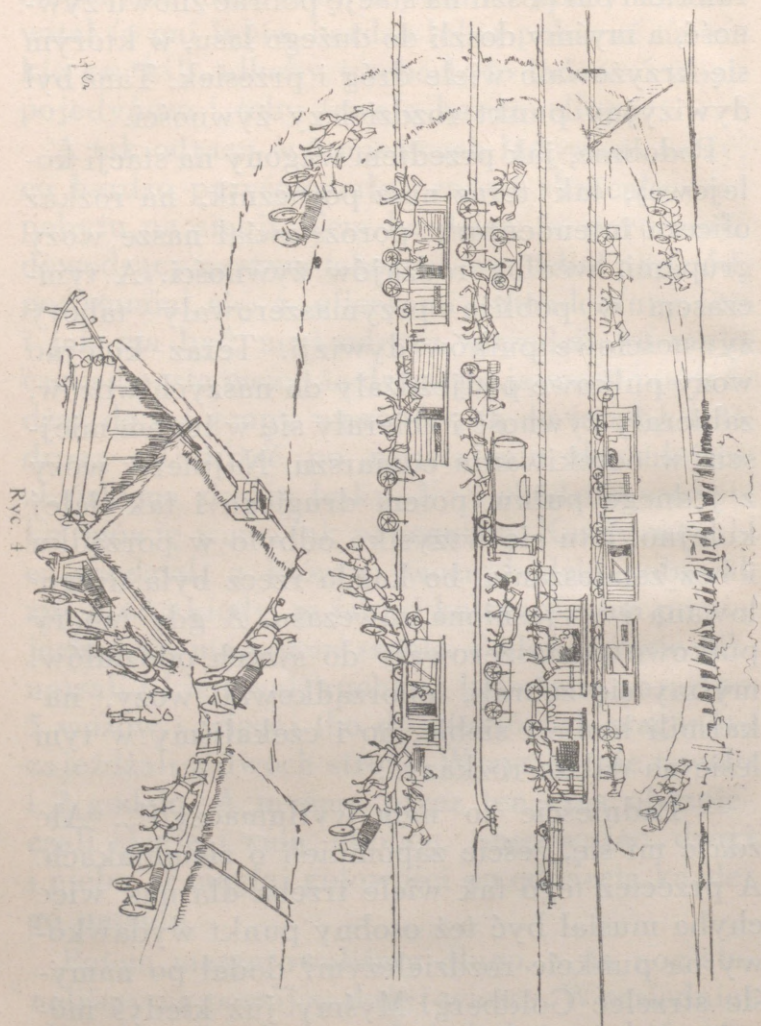
A tak odrazu w 5 miejscach ładowano wozy. co bardzo przyśpieszało pracę i skracало czas pobytu na stacji. Tem bardziej, że porucznik, dowodzący naszym taborem, wyjechał naprzód, porozumiał się z oficerami intendentury, co i jak ma być, no i odrazu zarządził: tu mają czekać puste wozy, tą drogą mają wozy podjeżdżać do tej grupy wagonów, tą do tamtej, a tą drogą odjeżdżać po napełnieniu do miejsca zbiórki na skraju lasu. No i chodziło wszystko, mówię wam, jak w zegarku. Każdy woźnica wiedział, z którego wozu będzie pobierał żywność i kiedy, w jakiej kolejności ma po nią jechać, co ma potem zrobić. Podoficerowie pilnowali i kierowali ruchem; ładowano naraz po 5 wozów i więcej (bo do niektórych wagonów zajeżdżali z dwóch stron). Wszystko nie trwało i 2 godzin. A myśmy przez ten czas ubezpieczali stację i całą okolicę, obserwując drogi i niebo, w ciągłej gotowości do odparcia każdego napadu.

Potem maszerowaliśmy długo, a na noc stanęliśmy na postój w dużej wiosce. W sąsiedniej obok nas stanęły inne dwie kolumny, które tego dnia wydały żywność taborom pułkowym

i zostały skierowane w stronę stacji. Wczesnym rankiem oni poszli na stację pobrać znowu żywność, a myśmy doszli do dużego lasu, w którym się krzyżowało wiele dróg i przesiek. Tam był dywizyjny punkt rozdzielać żywności.

Podobnie, jak przedtem wagony na stacji kolejowej, tak teraz nasz porucznik, na rozkaz oficera intendenty, porozstawiał nasze wozy grupami, według rodzajów żywności. A tymczasem w pobliże przemaszerowały tabory żywnościowe pułków dywizji. Teraz kolejno wozy pułkowe podjeżdżały do naszych wozów, zabierały żywność i zbierały się w innem miejscu, w oczekiwaniu odmarszu. Najpierw wozy z jednego pułku, potem drugiego i tak dalej kolejno. I tu się wszystko odbyło w porządku i bez zamieszania, bo każda rzecz była uregulowana i wyjaśniona zawczasu. A gdy tabory pułkowe pomaszerowały do swych oddziałów, myśmy się zebrali, uporządkowali wozy, nakarmili konie i siebie, no i czekaliśmy w tym lesie na dalsze rozkazy...

— Ładnieście to nam wytłumaczyli!... Ale zdaje mi się, żeście zapomnieli o ziemniakach. A przecież tego tak wiele trzeba dla nas, więc chyba musiał być też osobny punkt wydawkowy na punkcie rozdzielnym? dodał po namyśle strzelec Goldberg. Myśmy już kiedyś mówili o tem i pan kapral wspominał, że to się kupuje za pieniądze, dane przez intendenturę,



Ryc. 4.

Tak może wyglądać ruch na stacji kolejowej podczas pobierania żywności przez tabor żywnościowy. Wagony stoją podzielone grupami według zawartości na różnych torach: osobno chleb, osobno ziemniaki, osobno materiały pędne i tak dalej. Z tej wioski naprzecdzie wyjeżdżają wozy, każdy woźnica ma wyznaczoną drogę, wie gdzie i co ma pobrać, jaką drogą odjechać do tego lasku w głębi, gdzie się zbierają napełnione wozy.

a nie przywozi kolejną. Jak więc było z ziemniakami?

— Słusznie, macie rację. Teraz jest jesień, kartofli jest wszędzie dużo, a zbyt wiele trzeba wagonów dla ich przewozu. Czasem je kupuje pułk, a czasem intendentura dla całej dywizji. W zeszłym tygodniu było nas kilku jako eskorta przy zbieraniu takich zapasów, jak oni to nazywają przy eks... eks... aha! eksploatacji, czyli wykorzystaniu zasobów miejscowych. Było 2 oficerów, kilku podoficerów i szeregowców; mieli oni kilka wozów z tabo-ru, któremi przyjechali do wyznaczonego miasteczka. Było to trochę w bok od tej drogi, którą wyście przeszli. Pan porucznik zgłosił się w urzędzie gminnym, dowiedział się, gdzie, u kogo i ile można nabyć w gminie kartofli i świeżych jarzyn. Sierżant z rzeźni dywizyjnej dowiadywał się osobno o bydło. Potem wzięli ze sobą przedstawiciela gminy i chodzili po gospodarstwach, skupując, co tam było potrzebne. Wielu gospodarzy sprzedawało chętnie swoje zapasy, ale byli i tacy oporni, że potrzebne było wtrącenie się tego pana z gminy. A w jednym domu, tośmy u takiego bogatego kupca nawet rewizję musieli zrobić i siłą wziąć, bo powiedział, że nic nie ma, ani nie chce nam sprzedać. Ale zapłacili to każdemu, i tym, którzy dobrowolnie i tym którzy z musu dawali. Tylko na tego opornego, na dokładkę, policjant

spisał protokół. Będzie podobno odpowiadał przed sądem, a z sądami na terenie wojennym — to nie żarty.

— Możecie jeszcze mieli coś ciekawego w tej służbie?

— Cóż wam jeszcze powiedzieć? Może o rekwizycji podwód?

— A co to jest rekwizycja? zapytał Miłosz.

— To takie przymusowe dostarczenie czegoś, czyto towaru, czy narzędzi, czy, jak tym razem, podwód. A było to wtedy, jak tego konia. Robaczka, ranili. To ten lotnik tak sprytnie sobie wykalkulował napad, żeśmy nie mieli gdzie się ukryć no i zrobił nam sporo krzywdy. 5 wozów zostało połamanych lub bez koni! Jakoś przy pomocy zdrowych i lżej rannych koni, pomagając rękami eskorty, dociągnęliśmy się z tem wszystkim do najbliższej wioski. Tu nasz pan porucznik zrobił w kolumnie porządek i zobaczył, że jednak brakujące 5 wozów konieczne trzeba zastąpić podwodami. Od wszelkiego wypadku miał w zapasie nakazy rekwizycyjne na podwody. Poszedł z tem do sołtysa. Sołtys wypisał w nakazach adresy gospodarzy i rozesłał przez posłańca, a z nim poszliśmy i my, po jednemu na każdy wóz. Gospodarz, któremu doręczono taki nakaz, musiał się zaraz ubierać, rzucać pracę, zaprzęgać konie do wozu i jechać z nami na plac zbiórki kolumny. Tam przeładowano na wóz

towar i podwoda dalej maszerowała z nami, jakby nasza, tylko, że woźnica był cywilny. Biedna to wieś była, nie każdy miał parę koni, to też do 2 wozów dawali konie po jednemu różni gospodarze, a jeden z gospodarzy jechał taką parą, jak się tam umówili, który któ-



Ryc. 5.

Gospodarze, którym sołtys doręczył nakazy rekwizycyjne na podwody, szybko zaprzęgają konie. Pod opieką żołnierzy dołączają do kolumny taborowej i zastępują w niej brakujące wozy wojskowe; będą wozili żywność albo inne potrzebne dla wojska rzeczy.

remu swego konia zawierzył. Było i tak, że jednemuśmy musieli zagrozić, że siłą konia weźmiemy, bo się wzdragał jechać, że to niby miał pilną robotę.

— I daleko tak jechali z wami?

— Ano, cały dzień... przenocowali też i doczekali się do przeładowania żywności na tabory pułkowe. Jak już nie było ciężaru, stali

się niepotrzebni, to się ich zwolniło. Nie krzywdowali sobie, nawet ten co się tak bronił przed wyjazdem z nami: zjedli z naszej kuchni i obiad, i kolację, a i zapłatę otrzymali. Oni pojechali do swych domów, a myśmy jeszcze kilka razy, zanim przyszło uzupełnienie koni, tak rekwirowali podwody przed każdorazowym pobieraniem nowego ładunku. A jak wypadła bardzo daleka droga, albo konie były liche, to czasem w jakiejś wsi robiło się też dodatkową zmianę; rekwirowało nowe podwody, przeładowywało skrzynie i worki, a starych podwodziarzy zwalniało.

— A mieliście kiedy jakąś walkę w obronie taboru? zapytał kapral.

— A jakże, raz tylko była, ale dobra!.. Było to tak: chodziliśmy już z temi taborami pewnie ze 6 dni, jak przyszła wiadomość, że jakaś kawalerja, kilka szwadronów, gdzieś tam obeszła nasze oddziały i grasuje na naszych tyłach. Jakoś na drugi potem dzień maszerujemy przed wieczorem, wyszliśmy na taką otwartą drogę, a z boku drogi takie pagóreczki wciąż, to mniejsze, to większe. Nasz porucznik wsadził kilku ludzi na zapasowe konie i kazał jechać bokami, po tych wzgórzach, jako ubezpieczenie. Nas kilku szło na czole, kilku na ogonie, a reszta rozrzucona wzdłuż kolumny.

Już słońce sięgało prawie ziemi, jak nagle le-

ci jeden z prawego ubezpieczenia i woła zdaleka: „kawalerja z prawej, kawalerja!”.

Niejednemu serce zadrżało, bo to niema o co się oprzeć, czem zasłonić, ale zaraz porucznik i podoficerowie zaczęli nawoływać: „Spokojnie chłopcy!... do walki z kawalerją — z wozów!” Zaraz połączono wozy ze sobą, wiążąc każdą parę koni do poprzedzającego wozu. Na każde trzy wozy został przy koniach jeden tylko wóznica, reszta za karabiny i na lewą stronę wozów i tak maszerujemy dalej.

— A pociąg łączyli wozy?

— Żeby się nam nie porozbiegały konie, ze strachu podczas strzelania. Poza tem szarżująca kawalerja mogłaby między wozami przejechać, skubnąwszy po drodze, kogoby tam zdążyła. A tak nieprzerwany taki wał wozów i koni, to już przeszkoda, przez którą się trudno przedostać, nie każdy koń kawaleryjski przeskoczy!... No i dla nas za wozami oparcie i osłona przed strzałami lub ostrzami szabel czy lanc, a i strzelać samym o wiele wygodniej i pewniej.

— No!.. no i co dalej?... co dalej? rozległy się pytania.

— Niedługo, po małej chwile, wślad za naszym jeźdźcem wypadła z za wzgórza kawalerja, może było tego ze dwa szwadrony, ławą szeroką lecą co koń wyskoczy. A gdzieś z boku i maszynka ich zagrała.

— A nasz porucznik woła: „Chłopczy, spokojnie... nie strzelać jeszcze!...” A po chwili: „Stój! Kawalerja z prawej! Salwa!... Cel!.. pal!.. Jeszcze raz — salwa!.. cel!.. pal! — Ogień dowolny!...” No powiadam wam, to było coś do widzenia: te draby się nie spodziewały oporu, lecieli jak po pewną zdobycz — przecież to tabory! Jak im ta salwa wygarnęła na jakichś 300 metrów, a za chwilę druga, no i nasz lekki karabin maszynowy odezwał się — toż się zakotłowało wśród nich! A nam salwy te dodały ducha, uspokoiły, i teraz każdy strzelał w nich szybko i celnie; przecież kawalerzysta na taką odległość — to dobry cel... No, daliśmy im pieprzu, to też uciekali jak zmyci — tylko maszynka grzała trochę jeszcze po nas, ale też zamilkła. Za jakieś pół godzinki spróbowali nas skubnąć z drugiej strony, ale się znów sparzyli i poszli precz!...

— I nawet straciłem wiele u nas nie było: tyle co z maszynki paru ranili, bo wozy dobrze chroniły. A że tam kilka koni ustrzelili, to zaraz się je zastąpiło temi ich końmi, co to ich przeszło dziesiątek rozpędziło się po całym polu, i połapaliśmy... A na jednym koniu, to przyjechał nawet do nas ranny ich podoficer, tośmy nawet i jeńca mieli, jak najlepsze wojsko frontowe!...

— Widzicie więc, jak to jest u nas... Opowiedziałbym wam jeszcze, jak to obroniliśmy most

przed bandą dywersantów*), którzy go chcieli wysadzić, — no ale muszę lecieć, bo widzę, że tam kiwa na mnie ktoś z kancelarji sztabu dywizji. Trzeba pewnie już jechać zpowrotem... Bywajcie więc, do zobaczenia!..



Ryc. 6.

Kawalerja myślała, że to łatwa zdobycz, przecie to tabory... Ale dzielni żołnierze z taboru i przydzielonego oddziału osłony przygotowali się szybko do obrony i teraz walą w drabów jak w bęben...

Skoczył na swój rower i tyleśmy go widzieli.
Milczenie przerwał strzelec Socha:

— Słyszeliście, chłopaki? To jednak i na tyś-
łach dobry żołnierz też jest potrzebny... I każ-

*) Dywersja — napad, albo działanie, mające na celu odwrócenie uwagi przeciwnika od prawdziwych naszych zamiarów. Dywersantami nazywa się członków band partyzanckich, napadających na tyły wojsk walczących celem utrudnienia im ruchów zaopatrywania się i t. d.

dy po swojemu, jak mu kazano, służy jednej sprawie, wspólnemu zwycięstwu!...

HISTORJA RANNEGO STRZELCA.

Smutny to był jesienny wieczór: przed chwilą pochowany został strzelec Mazur, poległy w czasie wczorajszego wypadu. Milczkiem jedzono kolację, tylko od czasu do czasu padała uwaga:

— No i znów ubył jeden z nas!...

— Tak, tak, a ilu to rannych odeszło!..

— Co się tam z nimi dzieje — z Lisiakiem, Antkowiakiem i innymi? Roszko tam w szpitalu pewnie nawet nie wie, że został mianowany starszym strzelcem!...

I znów zapadło milczenie. Tylko słyszeć było za oknami plusk deszczu i poszum wichru. Wtem drzwi się otworzyły, ktoś wszedł energicznym krokiem i zameldował kapralowi Pazyrze:

— Panie kapralu! starszy strzelec Roszko melduje posłusznie swój powrót do drużyny...

Zapanował ruch w izbie, wrzawa, wszyscy rzucili się ścisnąć „zmartwychwstałego”. a ogólnie lubianego, kolegę. Zasypano go gradem pytań, na które nie nadążał odpowiadać:

— Ano wyleczyłem się przecie!.. Znów jestem z wami!.. Tak, byłem w domu dwa tygodnie na urlopie!.. Pewnie, że bolało, ale już przeszło...

Smutny nastrój przysł, jak to na wojnie: szybko się przechodzi od smutku do radości. Poco rozmyślać o śmierci kolegi, gdy oto wrócił inny i przywiózł ze sobą jakby „zapach” innego, tyłowego, krajowego życia: życia, o którym jużśmy niemal zapomnieli.

Gdy się już trochę uspokojono — zagadnął kapral Pazyra przybyłego:

— Namęczyłeś się, biedaku, natulałeś pewnie po szpitalach, dali ci tam szkołę „łapiduchy”. Opowiedzże więc kolegom, jaka to jest „droga służbowa” rannego z pola bitwy do szpitala, jak tam przechodziłeś to wszystko?

— Tak, tak! bardzo prosimy! — poparto z kilku stron.

— Chyba niema w tem nic ciekawego, ale, jak chcecie, to wam opowiem:

— Otóż, jak pamiętacie pewnie, w czasie pewnego natarcia taki jeden granat trafił mnie w lewą rękę, a Antkowiaka w nogę. Chęć dalej biec naprzód z wami, próbuję się podnieść, a tu ręka boli, jakby ją kto przycisnął wielką skrzynią. I krew ciepła biegnie. Wyjąłem opatrunek i chęć krew zatamować, ale samemu idzie to niesporo. Szczęście, że Antkowiak leżał blisko, podczołgałem się do niego i dopiero, wzajemnie sobie pomagając, zaradziliśmy narazie tym ranom. Jakiś czas potem przechodził w pobliżu patrol sanitarny, zawołaliśmy więc o pomoc. Podoficer sanitarny przemył nam rany

wodą i czemś piekącym, mocno zabandażował i mnie kazał iść do tyłu w kierunku na lasy, w którym był bataljonowy punkt opatrunkowy. Antkowiaka włożono na nosze i ponieśli go sanitariusze.

Z trudem podniosłem się z ziemi, z początku kręciło mi się trochę w głowie; ale po kilkunastu krokach już nieźle szedłem, tylko wciąż mi się zdawało, że w lewej ręce niosę straszny jakiś ciężar. Po drodze, jak kazał sanitariusz, oddałem resztę naboju kolegom z napotkanej kompanii odwodowej, zostawiając sobie tylko 5 naboju w karabinie, na wypadek obrony przed jakimś napadem.

Dość długo szedłem, aż trafiłem na ukryty w gaju domek przy kapliczce, przed którym była na bramie chorągiew biała z czerwonym krzyżem. Zameldowałem się u lekarza bataljonowego. Ten obejrzał zwichniętą rękę, powiedział do sierżanta sanitarnego: „ręka złamana, opatrunek dobry — do głównego punktu opatrunkowego”. Wypisał więc sierżant kartę szpitalną, zabrał zbędną broń (zostawili mi tylko maskę przeciwgazową), zapytał, czym nie głodny? Jeść mi się nie chciało, ale z radością napiłem się dobrej herbaty. Potem kazano mi czekać na uboczu.

Tymczasem przychodzili coraz nowi ranni. Przynieśli i Antkowiaka, i ciężko rannego

w brzuch biedaka Kowalczyka z III plutonu. Obu też doktor przeznaczył do odesłania na tyły. Potem przyszedł Zylberberg z kompanji karabinów maszynowych: ale tego po opatrunku odesłali do kompanji, bo się okazało, że tylko lekko draśnięty został. Było też kilku żołnierzy nieprzyjacielskich, rannych jeńców: byli pod eskortą, ale opiekę mieli taką samą jak i my.

Gdy się nas więcej zebrało, wsadzono ciężko rannych na wozy sanitarne, a nam, zdolnym do chodzenia, kazano iść wzdłuż drogi pod dowództwem jednego lekko rannego kaprała. Uszliśmy ładne parę kilometrów, aż natrafiliśmy znowu na znak czerwonego krzyża, widniejący zdala na budynku szkolnym w dużej wsi. Był tu wielki ruch, dużo rannych, bo tu się mieścił główny punkt opatrunkowy, wystawiony przez kompanję sanitarną naszej dywizji.

Znowu oglądał nas lekarz, niektórym poprawiono opatrunki, dano zastrzyki. Kowalczyk, jako niebezpiecznie ranny, oddany został zaraz do pobliskiego szpitala polowego naszej dywizji. Innych nakarmiono, napojono i znów kazano nam czekać.

Po kilku godzinach, gdy się już dobrze ściemniło, zajęchało wiele wozów sanitarnych i kilka samochodów. Najpierw ładowano w pozycji leżącej ciężko rannych na samochody, potem na wozy: na następne wozy sadzano po kilku

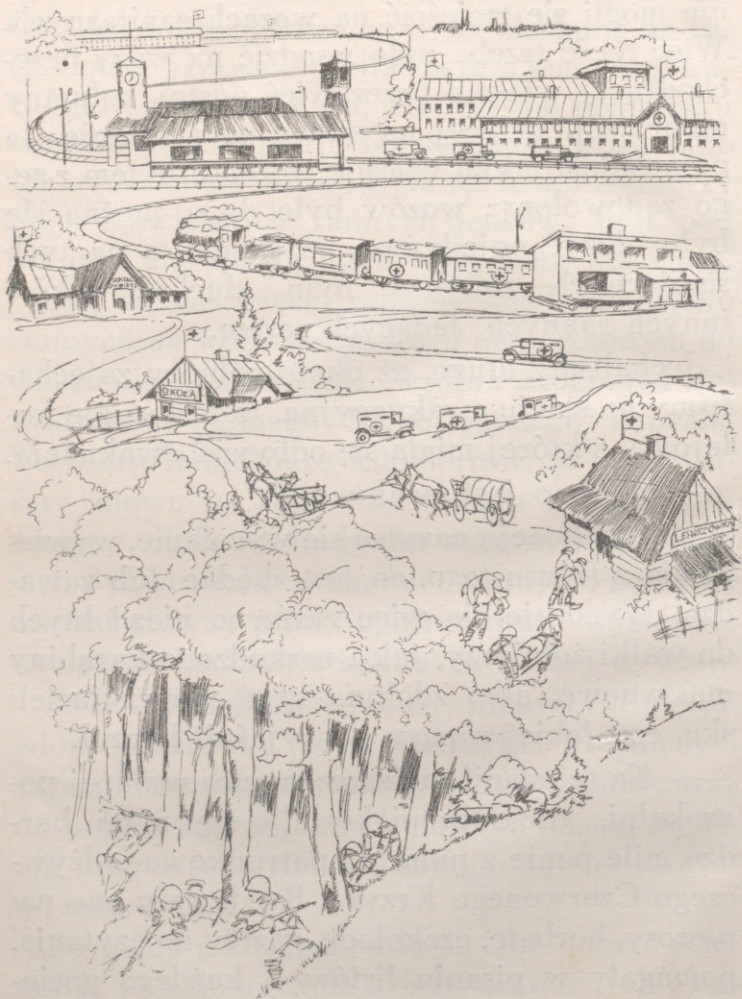
lżej rannych. Jednak tylu nas było, że wszyscy nie mogli się zmieścić na wozach sanitarnych. Więc część trzeba było wsadzić na wozy przechodzącej właśnie przez wieś pustej kolumny taborowej, jadącej na stację po amunicję. Ja pojechałem takim właśnie wozem i byłem z tego zadowolony: wozów było dużo, można się było ułożyć pojedynczo na słomie, a na tych sanitarnych przykro było słuchać jęków innych rannych, jadących razem.

Jechaliśmy długo, aż około północy zajechaliśmy na stację ewakuacyjną, to jest stację kolejową, z której miała się odbywać ewakuacja.

— A co to jest ewakuacja?

— Ewakuacją nazywa się wycofanie, wywiezienie z frontu tego, co jest zbędne lub zawadza. Wycofuje się więc zarówno niezdolnych do walki żołnierzy, jak i uszkodzone karabiny maszynowe, albo zdobytą broń nieprzyjacielską, czy jakieś zapasy — wyjaśnił kapral.

— Na tej stacji umieszczono nas w dużej poczekalni, gdzie zaopiekowały się nami bardzo miłe panie z punktu opatrunkowo-odżywczego Czerwonego Krzyża. Rozdawały one papierosy, herbatę, czekoladę, gazety do czytania, pomagały w pisaniu listów, a każdego pocieszyły dobrem słowem. Przed świtem przyszedł pociąg sanitarny. Ciężko rannych ułożono wygodnie w pięknych wagonach sanitarnych, my



Ryc. 7.

Ryc. 7.

Tak wygląda „droga służbowa” rannego żołnierza. Sam albo z pomocą sanitariuszy dostaje się do bataljonowego punktu opatrunkowego w tej tu leśniczówce. Stąd wozem albo pieszo wędruje do głównego punktu opatrunkowego, mieszczącego się w dużej szkole. Bardzo ciężko rannych odwożą do szpitala polowego w pobliskim folwarczku, innych na stację kolejową, skąd już pociągiem sanitarnym jadą do dużego miasta. Tu wszystkich chorych i rannych badają, dzielą i jednych zostawiają w szpitalach etapowych (widzimy je tam daleko na prawej stronie), innych odsyłają jeszcze dalej do szpitali w głębi kraju.

zajęliśmy miejsca siedzące w zwyczajnych wagonach osobowych.

Po południu znów wyładowano nas na wielkiej stacji. Tu było wielu lekarzy. Każdego z nas dokładnie zbadali i zaraz jednych odsyłali samochodami do szpitali etapowych, urządzonych w tem mieście, innych znów ładowano do pociągu sanitarnego, idącego dalej w głąb kraju. Nas z Antkowiakiem wsadzono do chirurgicznego szpitala etapowego.

Tu już był koniec naszej podróży. Ale jak po wykapaniu wzięli się do mnie na sali operacyjnej, toż dopiero odczułem wielki ból... No, niedługo potem już byłem w pięknej sali, w czyściutkiem łóżku. Niemało tygodni spędziłem leżąc w niem, bo to jakieś powikłane było złamanie — mówiono — i całe szczęście, że od razu rana była czysto utrzymana, bo inaczej mogło być źle ze mną. Potem już mi było wolno chodzić, chociaż z ręką na temblaku. Później to i zacząłem pomagać innym kolegom, bardziej cierpiącym i do służby na sali mnie wyznaczano.

Wreszcie kiedyś zawołali mnie na komisję, zbadali i powiedzieli: „No, zdrów już chłopak, dobrze mu się to zrosło. Wypisać ze szpitala!” Dostałem dwa tygodnie urlopu, po którym się zameldowałem w bataljonie zapasowym naszego pułku. Wzięli mnie tam do ćwiczenia rekrutów, ale że to wkrótce wysyłano kompanję

marszową do pułku, więc też wyprosiłem u pana majora, żeby wrócić na front, no i jestem. Już się meldowałem u dowódcy kompanji i mam przydział do dawnej drużyny. A co do Antkowiaka, to go widziałem, przejeżdżając przez tę wielką stację; jest w domu ozdrowieńców i chodzi o kuli; mówił, że pewnie już do nas nie będzie mógł wrócić, choć mu bardzo żał, bo na całe życie będzie utykać na tę nogę; więc ma iść do jakiejś kompanji wartowniczej, a może go wezmą do fabryki amunicji, bo to niezły ślusarz z cywila...

Skończył i zaległo milczenie. Wtem odezwał się z kąta mrukliwy i małowówny zazwyczaj strzelec Mędrek:

— No i czegoś się tak właściwie cieszysz, boś widzę taki uśmiechnięty?

— Jakto z czego? Z tego, że jestem znów z wami, w swojej kompanji...

— I naprawdę na ochotnika, warjacie, zgłosiłeś się znowu na front, zamiast się cieszyć, że możesz odpocząć na tyłach, w kraju?

— Wiesz co, mój kochany — w pierwszej chwili, jak już zrozumiałem w pociągu sanitarnym, że jadę do tyłu, trochę się ucieszyłem, że sobie odpocznę. Ale przez tyle dni w szpitalu być bezczynnym, gdy człowiek wrócił do sił i zdrowia — to była rozpacz! wy tu walczyście, bronicie Polski, a ja, jak stary dziad jaki, musiałem siedzieć z założonemi rękami. A cóż do-

piero, gdy przyszedł z pułku papierek z moim awansem na starszego strzelca za ten patrol, co to wiecie; gdy sam pan pułkownik lekarz, taki siwy, z dużą brodą, zacny człowiek, powiedział o tem na sali szpitalnej i przy wszystkich podał rękę i pochwalił.

— W domu, na urlopie, dobrze mi było, to prawda; zwłaszcza dziewczęta dla żołnierza z frontu, i to rannego, są strasznie czułe, aż się opędzić trudno. Ale im lepiej się czułem, tem więcej tęskniłem za wami i za tem życiem frontowem, gdzie codzień jest coś nowego... Zresztą nie myślcie, że tam, daleko, tak bardzo jest spokojnie: lotnicy często bombardują, trafili kilka razy i w nasz szpital, a i ciotkę Andrzejówą zabili, jak pojechała raz do powiatu za interesami. Przecież nie żołnierz, a zginęła. Naprawdę to już na froncie lepiej, bo wiem przynajmniej, że walczę; mnie trafili, bo trafili, ale i ja też niejednemu nieprzyjacielowi dogodziłem!..

— Tak więc, wtrącił się kapral Pazyra, wygląda opieka nad rannym i wędrowka z frontu na tyły. Jak wszędzie, tak i w tem musi być sprawna, przemyślana i mądra organizacja, wymagająca wielu ludzi i środków. Jakaście zauważyli z opowiadania, a i sami nieraz przecie jużście widzieli, wszystkie osoby i urzędnia mające związek ze służbą zdrowia są oznaczone czerwonym krzyżem. Pamiętajcie więc szanować zawsze ten znak, nie tylko u nas.

ale i u obcych, bo opiekę sprawuje się tam nad wszystkimi potrzebującymi pomocy, tak swoimi, jak obcymi, bez różnicy!..

HISTORIA POCZTY POŁOWEJ I SKLEPIKU POŁOWEGO.

— Ale ja tu, gadu-gadu, a przecież mam kilka listów dla was, przypomniał sobie starszy strzelec Roszko, zabrałem je, wracając z urlopu.

List! jakaż to radość na froncie!.. uszczęśliwieni odbiorcy odczytują swe listy po wiele razy, jakby się starali wbić każde słowo w pamięć. Strzelec Makówka złapał zaraz ołówek i kartkę papieru — już coś pisze, oczywiście odpowiedź do domu.

Ale tych szczęśliwych było niewielu, przecież nie wszyscy pochodzą z tej wioski, w której mieszkają rodzice Roszka.

Najwięcej martwi się strzelec Miłosz: nic dziwnego, taki młody, jeszcze niebardzo zżył się z frontem. Tęskno mu do matki! A jeszcze nie miał ani razu listu, choć sam pisze często, co kilka dni.

— Nie martw się, Miłosz, przyjdzie poczta polowa, to i my dostaniemy swoje listy, pocieszał go Kluska.

Ale nie zgadł, bo właśnie następnego dnia rano ruszyliśmy do wielkiego natarcia, o którym już wspominałem, opowiadając o tem, jak to

budowaliśmy okopy. Jakiśmy przełamali opór nieprzyjaciela, a zaczęli go pędzić, to przez kilka dni nic — tylko wciąż naprzód i naprzód. Nie było poczty, ani nikt o niej nie miał czasu myśleć.

Aż wreszcie stanęliśmy znowu gdzieś na dłuższy odpoczynek. I znów pobiegły myśli do domów, rozpoczęło się wyczekiwanie listów.

— Oj, kiedy przyjdzie ta poczta? czy aby wogóle przyjdzie, czekam i czekam tyle dni, narzekał strzelec Miłosz. Czekam, a tu nic! I pewnie, taki adres: poczta polowa Nr. 127. Jakżeż to list nas znajdzie? W cywilu to było co innego: jak napisał ktoś „Jan Miłosz, wieś Lutynia, gmina Dębno, poczta Żerków”, to list trafiał od razu. A tu — kto i skąd ma wiedzieć, gdzie to jest ta poczta polowa „Numer 127!”..Zginie mój list, a może już i zginął...

— El.. nie mazgaj się, Janku... przyjdzie twój list, jak przychodziły do ciebie i w cywilu, wtrącił kapral. Tak samo idą, może tylko trochę dłużej.

— Ale czy na pewno?

— Na pewno, na pewno!... Jeżeli chcecie, to wam wytłumaczę za chwilę. Ale najpierw może strzelec Janik powie nam, jak podróżują listy w czasach pokojowych albo i teraz listy cywilnych osób. Zdaje się, żeście pracowali na poczcie?

— Tak jest, panie kapralu!.. Z temi listami to jest całkiem prosto: Janek włożył list do skrzynki pocztowej na rogu ulicy. O oznaczonej godzinie pracownicy pocztowi opróżniają wszystkie skrzynki, a w dużych miastach dla pośpiechu jeżdżą nawet motocyklami. Otwiera taki pan skrzynkę umyślnym kluczem i już listy spadają do nastawionej torby. To samo przy drugiej, trzeciej i następnych skrzynkach, aż wszystkie listy zebrane znajdują się w urzędzie pocztowym.

Tu listy pieczętują stemplem z datą i dzielą według adresów. Wszystkie listy, przeznaczone do jednej miejscowości, pakują do wspólnego worka z odpowiednim napisem i wysyłają na kolej. W pociągach osobowych są osobne wagony pocztowe lub przedziały w wagonach bagażowych. Siedzą tam urzędnicy pocztowi, którzy na każdej stacji wydają odpowiednie worki z pocztą i przyjmują nowe. Tę nową pocztę przeglądają szybko — jedne listy dołączają do worków, które wydają po drodze, inne oddają na stacji końcowej. Jeżeli ktoś například z Warszawy wysłał list do Janka Miłosza, mieszkającego w gminie Dębno, to list ten włożono do woreczka z adresem „poczta Żerków, szlak 3”. Wszystkie worki ze znakiem „szlak 3” zostały zebrane razem i pojechały pociągiem przez różne stacje do Wrześni. Część worków z listami została wydana po drodze, na stacji we

Wrześni wydano worki do Gniezna i Jarocina oraz do stacyj pośrednich między temi miastami. Tu rozsortowano te worki i jedne oddano na pociąg idący do Gniezna, drugie zaś razem z workiem żerkowskim — na pociąg mający jechać do Jarocina. Gdy w urzędzie pocztowym w Żerkowie otrzymano worek z pocztą, szybko znów podzielono zawartość jego: listy adresowane do miasteczka i najbliższych wiosek rozdano listonoszom miejscowym; inne rozwieziono bryczką do agencyj i urzędów gminnych, a stąd rozniesiono na wioski do adresatów. Twój list więc pewnie jechał przez agencje pocztowe Dębno do twej wioski, do Lutyni.

— Ładnieście to nam wytłumaczyli: chyba każdy zrozumiał!.. No, a z listami wojskowemi jest podobnie — też jadą różnemi pociągami i są przeglądane i sortowane w różnych urzędach. Jedna tylko jest trudność, no, kto mi powie?

— Pewnie ta, że Warszawa jest zawsze Warszawą, a Żerków — Żerkowem...

— Właśnie, każdy więc wie, gdzie jest jakie miasto, czy wieś, i listu z Warszawy do Żerkowa nie będzie wysyłać przez Wilno albo przez Lwów. Ale wojsko podczas wojny wciąż jest w ruchu, więc trzeba było i na to wymyślić sposób.

Otóż wszystkie przesyłki dla wojska, walczącego na froncie, przechodzą przez osobny urząd,

który je sortuje na główne poczty polowe, wiedząc, że poczta polowa 127 należy naprzykład do głównej poczty polowej nr. VII i tak dalej. Taka główna poczta polowa nr. VII, powiedzmy że jest ona w Wilnie, ma znów dokładniejszy wykaz miejsc postoju poczt polowych, należących do jej rejonu doręczeń. Stosownie do tego wysyła listy adresowane do Miłosza, Kluski i innych naszych kolegów pociągami, wiozącymi dla nas żywność. Razem z żywnością torby z pocztą przechodzą na nasze tabory, aż trafiają wreszcie do kompanji i zostają nam doręczone. Rozumiecie?

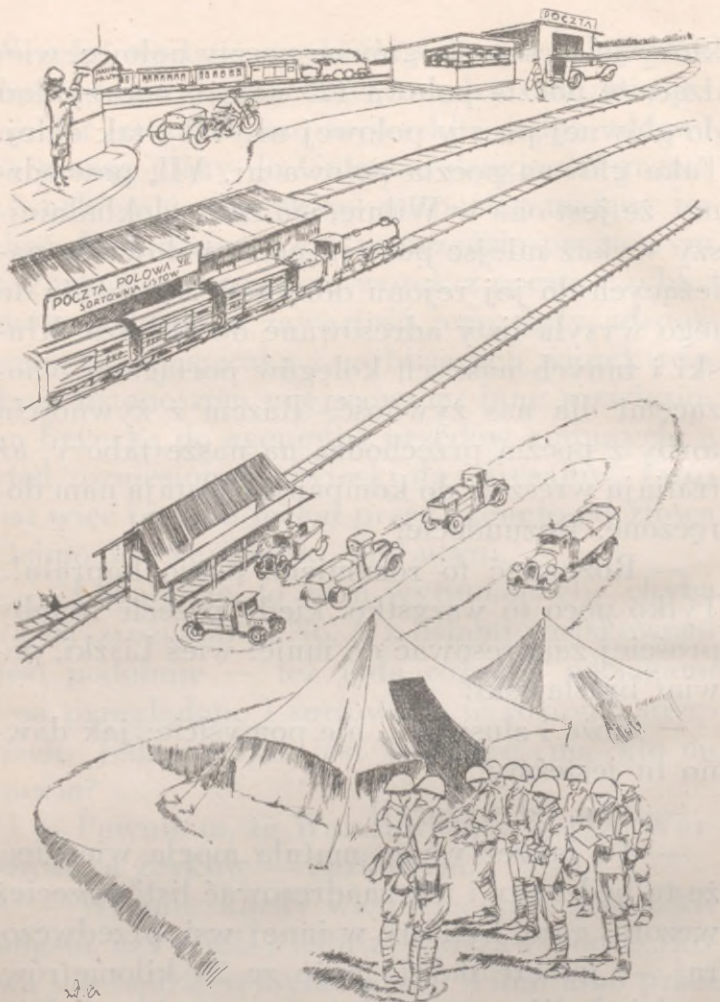
— Rozumieć to rozumiem, panie kapralu!.. Tylko poco to wszystko, kiedy przecie byłoby prościej zaadresować do mnie: wieś Liszki, powiat brasławski?

— Może i słusznie,... ale pomyślcie: jak dawno tu jesteśmy?

— Ano, od wczoraj!

— To jakżeż wasza matula mogła wiedzieć, że tu będziemy i tak zaadresować list? przecież wczoraj rano byliśmy w innej wsi, przedwczoraj — jeszcze dalej, może ze 20 kilometrów, a gdzie byliśmy tydzień temu, może już nie każdy i pamięta!.. Czy wiedzieliście, Miłosz, przedtem, że tu będziemy stali? mogliście kogoś uprzedzić?

— Nie, panie kapralu!..



Ryc. 8.

Taką drogę odbywa list do żołnierza walczącego na froncie: ze skrzynki pocztowej trafia na pocztę, która odsyła go pociągiem do dużej poczty polowej, która wie, gdzie się znajduje jaki oddział wojska, a raczej jego poczta polowa i rozsyła listy pociągami żywnościowymi. Wraz z żywnością dochodzą one do oddziałów. Naprzędzie właśnie widzimy radosną chwilę wydawania listów żołnierzom biwakującego pod namiotami oddziału.

— Nietylko wy, ale i pan porucznik dowódca kompanji, a pewnie i sam pan pułkownik tego powiedzieć nam nie mogli!.. No, a kto wie, jak długo będziemy tu jeszcze odpoczywać?.. No?.. Może wiecie Goldberg. bo wy wszystko lubicie wiedzieć naprzód?

— Nie, panie kapralu, nie wiem!.. Może przyjsć rozkaz wymarszu jutro, może za kilka dni, a jakby zaraz trąbili alarm, to za małe pół godzinki jużby nas tu nie było, poszlibyśmy precz i może nigdy już nie wrócili...

— A powiedzcie, Janik, coby było, gdyby do tutejszej poczty przyszedł list dla Miłosza, a jego tu nie zastał?

— Jeżeliby było wiadomo, gdzie pułk poszedł, mogliby za nami dosłać list... Ale że my tak często przenosimy się z miejsca na miejsce, to list tak mógłby za nami długo gonić, wciąż odsyłany dalej. I z tego wszystkiego najprędzej zaginąłby wkońcu. Myślę też, że pan pułkownik niebardzo kwapiłby się powiedzieć na poczcie, gdzie to idziemy dalej; więc list zostałby zwrócony nadawcy z napisem: „adresat wyjechał niewiadomo dokąd”.

— Zupełnie słusznie!.. I to samo stałoby się z każdym następnym listem; i próżno, a przynajmniej bardzo długo, musielibyście czekać na upragnione listy od matki, narzeczonej, czy przyjaciół. A przez tę całą sieć poczt polowych listy idą może nie tak prędko, nieraz muszą na-

wracać nawet, gdy pułk przewieziony zostanie kolejami na inny front, do okręgu innej głównej poczty polowej, ale zawsze was znajdą. Bo o każdej zmianie postoju naszej poczty polowej zawiadamiają odpowiednią główną pocztę polową.

Ale jest jeszcze i inna przyczyna, że właśnie tak a nie inaczej adresuje się listy do nas... Kto to wytłumaczy? No pomyślcie!.. A przecież to takie proste... a ochrona tajemnic wojskowych, to pies?!... Mało się wam o tem jeszcze mówi?

— A więc uważajcie: przeciwnik nasz radby jak najdokładniej wiedzieć, gdzie i jakie oddziały nasze są, kiedy i dokąd się przesuwają. Ma on różnych sprytnych szpiegów, którzy myszkują i szukają, gdzieby choć drobną wiadomość uszczknąć, bo z takich drobiazgów zbierają się wkońcu rzeczy ważne i wielkie. Pomyślcie, jakbyście tak wszyscy dziś napisali do swoich domów, że 83 pułk piechoty stoi w Liszkach — Miłosz do Lutyni, Godberg do Radzymina i t. d. Łatwoby to doszło do wiadomości jakiegoś takiego ptaszka, grasującego może w gminie Dębno, może w Radzyminie, a może i gdzieś po drodze na poczcie, czy w wagonie pocztowym. On zaraz się postara dać znać swej władzy szpiegowskiej „83 p. p. dnia 1. grudnia w Liszkach”. A w tym samym czasie inny szpieg podobnie dowie się, że 21 p. p. stoi tu w tej wiosce blisko nas. Nieprzyjaciół zestawia

to i już wie, jakie dywizje stoją w tej okolicy. A jeżeli wiedzą, gdzieśmy byli poprzednio, to zaraz mogą sobie wyrozumować, co to nasze dowództwo zamierza, gdzie skupia swoje siły i tak dalej. Tak to właśnie z drobiazgów rosną ważne sprawy. I dlatego każdy list w czasie wojny, nie tylko pisany przez nas lub do nas, ale każdy wogóle podlega kontroli, czyli cenzurze wojennej. Stara się ona wyłapać takie listy, które przez niepotrzebne gadulstwo mogą przynieść państwu szkodę albo też listy wprost szpiegowskie.

Listy takie są zatrzymywane, niszczone albo oddawane odpowiednim władzom dla ukarania winnych. Tak więc ten, kto pisze o sprawach wojskowych, naraża się nie tylko na to, że list nie dojdzie nigdy do rodziny lub znajomych, ale też się naraża na karę za swą lekkomyślność.

— Ale my tu sobie gawędzimy, a widzicie, że wóz sklepiu polowego stoi od dłuższej chwili i inne kompanje obstawiły go tak, że może dla nas zabraknie czekolady...

— Albo papierosów...

— A to mało dostajesz papierosów?

— Mało, nie mało, ale jakoś się prędko wypalają. No i te ze sklepiu są jakieś lepsze... Tylko, że...

— No co znów za tylko? jaki masz kłopot Jasiu?

— Właściwie te papierosy — to nie dla mnie!..

— A czemuż to?

— Bo ja już nie mam pieniędzy,... a nie wiem, kiedy z domu przyślą...

— A żołd?... no i dzisiaj właśnie będzie wypłata...

— Stary żołd już dawno wydałem... a tego nowego choć i dostanę, ileż tam będzie, niewiele.

— Otóż mylisz się, bracie, bo tu w polu dostajemy więcej pieniędzy, a jeśliś ciekaw, ile dzisiaj otrzymamy, to sobie policz: było wczoraj w rozkazie, że za dni: 22, 26, 27 i 28 listopada należy się nam dodatek bojowy, razem za 4 dni. Wynosi to 4 razy po 1 złoty 75 groszy, czyli 7 złotych. Ponieważ cały ten czas byliśmy na terenie działań wojennych, więc za pozostałe 6 dni minionej dekady należy się dodatek polowy, czyli po 80 groszy, razem 4 złote 80 groszy. Do tego żołd zgóry za I dekadę grudnia, dla szeregowca 85 groszy, to ile razem będzie?

— 7 złotych i... 4.80, i... 85... to będzie,... to będzie... pocił się Miłosz.

— 12 złotych 65 groszy — pośpieszył z pomocą Goldberg.

— No, czyż to nie jest dużo? tyle pieniędzy, że często niema nawet jak wydać tu w polu, choćbyś i chciał. A gdy już mówimy o pieniądzach i sklepiku, to zapamiętajcie sobie, że pie-

niądze płatnik bataljonu otrzymuje na zapotrzebowanie z kasy polowej, tak jak dawniej w garnizonie — z kasy skarbowej pobierał. A znowuż sklepik wojskowy sprowadza potrzebne towary za pośrednictwem hurtowni wojskowej, którą prowadzi intendentura armji, podobnie jak spółdzielnia wioskowa otrzymywała towar z powiatowej hurtowni spółdzielczej. Kierownik sklepiku wysyła zapotrzebowanie i pieniądze do hurtowni, a ta wysyła mu, co tam potrzeba—czekoladę, papierosy, papier listowy, grzebień, ołówki, mydełko i tak dalej, w tym pociągu, co to, jak już wiecie, przywozi dla nas żywność.

— Pan kapral to zawsze wszystko wie!.. pokręcił głową Miłosz.

W tej chwili wpadł do izby podoficer służbowy, wołając:

— Zbiórka do rozkazu! Po rozkazie wypłata żołdu!..

— No, chłopcy, biegiem na zbiórkę!... A ty tam Łatawiec, zawołaj za oddalającym się służbowym — powiedz temu staremu wujkowi ze sklepiku, żeby trochę zaczekał, aż chłopcy żołd pobiorą... No i niech tam dla nas zachowa różnych dobrych rzeczy, bo inaczej inni rozdrapią!...

Nie minęła godzina, a drużyna siedziała znów w swej izbie w dobrych nastrojach: jedni tulili i doczytywali po raz może już dziesiąty otrzy-

mane przy rozkazie listy, inni omawiali wiadomości z domu. Pan kapral otrzymaną z kancelarii gazetę dokumentnie wyczytywał. A każdy prawie miał w ustach cukierek, czekoladę lub zaciągał się dymkiem kupionego papierosa...

HISTORJA ŚWIĄTECZNA I URLOPOWA.

Przyszło Boże Narodzenie. Mieliśmy szczęście, bo przed samymi świętami ściągnęli nas na dalekie tyły, do odwodu. Przeszliśmy przecie tyle walk, że i odpoczynek nam się należał rzetelnie zapracowany, a i uporządkować trzeba było i uzupełnić straty. Zaraz przyszło uzupełnienie, kompanja marszowa, składająca się w części z młodych żołnierzy, a w części ze starszych już rezerwistów; porozdzielano ich po kilku do każdej drużyny. Przyszły też mundury i nowe buty na wymianę dla tych, którzy mieli te rzeczy zniszczone. Załatały się więc luki w szeregach kompanij i plutonów, znikły dziury w portkach i mundurach.

Dużo żołnierzy dostało urlopy świąteczne, od nas pojechali strzelcy Socha i Kluska. Ale i tym, którzy zostali w kompanji, nie było źle. Jeszczeby miało być źle, kiedyśmy stali w takim miasteczku, któregośmy właśnie niedawno przez tydzień bronili i obronili przed najazdem nieprzyjaciela. Więc każdy tu chciał nam okazać swą radość i wdzięczność!..

Wieczera wigilijna była taka, jakiej pewnie drugiej już nie będziemy mieli w życiu: wszelkiego jadła i picia było w bród i drzewko ślicznie ustrojone przez panie z miasta. Śmiały się nam oczy do rzęsίσcie oświetlonych piękności, ale jeszcze więcej do tych dobrych ludzi. Bo ponad wszystko drogie i miłe nam było serce, które nam okazano: na wigilję tylu cywilów się zeszło, władze i prości ludzie, panie, starsi panowie i dzieciaki ze szkół!.. A każdy dogadzał, serdeczności prawił, aby nikt z nas nie czuł się sierotą; nie dali nikomu nawet długo myśleć, że to tak daleko od domów rodzicielskich jesteśmy!..

I następnych dni gościli wielu z nas po domach; był teatr żołnierski i w cywilnych kinach za kilka groszy mieliśmy bilety, tak tanio jeszcze nigdy nie było. I zabawy były różne w świetlicy, urządzonej przez Biały Krzyż, wszystko abyśmy tylko wypoczęli i nabrali sił do dalszych trudów, jakie nam pewnie jeszcze wypadną.

Takeśmy się to zabawiali, odpoczywali a nie nie robili, tylko najwyżej czyścili broń. Aż tu trzeciego czy czwartego dnia przy rozkazie pan szef wyczytał: „Jutro pobudka o godzinie 6, zającia: od godziny 7 minut 30 do 8.30 musztra, od 8.45 do 11 ćwiczenia bojowe, od 14.30 do 15.30 pogadanka dowódcy kompanji, potem czyszczenie broni, a o g. 17.30 przegład broni.

Szmer poszedł po kompanji, każdy westchnął albo w inny sposób wyraził swoje zdziwienie, żal..., bo to przecie niby tak, jak w garnizonie, a przecież teraz wojna? i pocóż nam, starym żołnierzom, od kilku miesięcy służącym na froncie, ćwiczenia bojowe?

Zauważył to szef kompanji i tak przemówił:
— Przeciagnęły się wam miny, chłopcy... A jednak tak być musi — nie możemy gnuśnieć beczynnie, zanim rozkaz położonych da nam nowe zadanie bojowe do spełnienia.

Musimy przerobić musztrę, aby się znów zgrać zewnętrznie, aby widać było, że to jest wojsko, a nie dziady, chociażby nawet dzielne i odważne. Tem więcej musimy się ćwiczyć w musztrze teraz, aby się zgrać z nowem uzupełnieniem, aby te młode żółtodzióbki i starzy wujkowie jak naprędzej stopili się z nami w jedną całość.

Dla nich też przedewszystkiem musimy robić i te ćwiczenia polowe. Krótkie było ich szkolenie w kadrze, niejednego może nie opanowali — nadarza się teraz sposobność do uzupełnienia tych braków. W tych ćwiczeniach muszą się też zgrać z nami, a przytem poznają niejedno, czego nas już nauczyła wojna obecna, a o czem może jeszcze nie wiedzą w kadrze albo i wiedzą, ale lekceważą.

Podczas pogadanki powie wam pan porucznik o tem, czego wojna nauczyła nas i naszych

sprzymierzeńców, jakie nowe wynalazki porobiono, jakie nowe sztuczki robił nieprzyjaciół w walce z innemi oddziałami naszymi. Trzeba o tem wszystkiem wiedzieć, aby umieć skutecznie walczyć i nie dać się zaskoczyć czemś podobnem. Przytem mamy teraz zimę, niema wprawdzie śniegu, ale już jutro może być: trzeba przypomnieć i o tem, jak się to wojuje w zimie.

No, a o potrzebie czyszczenia i przeglądu broni, to już wam tłumaczyć nie potrzebuję, jużście dawno nie rekruci, lecz starzy żołnierze; więc każdy dobrze z własnej praktyki wie, czem jest dobra broń w polu!..

Nie macie się czem martwić! Zostanie czas i na rozrywki, a i niedziela wypada za 2 dni, to sobie jeszcze wypoczniecie. Musicie wiedzieć, że i za moich młodych lat, podczas wojny światowej, też nie inaczej było, tylko w czasie dłuższych odpoczynków w odwodzie — na tyłach, czy w etapach — zawsze i wszędzie ćwiczyli wojsko, aby tem lepiej spełniało potem swój obowiązek... tak zakończył szef.

Niebardzo chciało się wstawać pierwszy raz na ćwiczenia, ale potem jakoś wciągnęliśmy się do tego i przekonali, że to jednak nie jest złe; że chociaż starzy żołnierze, możemy się przecie czegoś nowego jeszcze nauczyć, co się przyda potem w polu....

Tak w pracy i rozrywkach przeszły nam święta.

Trzeciego dnia po Nowym Roku pchnięto nas naprzód, zaczął się marsz pośpieszny, trwający szereg dni...

Pewnego dnia przy kolacji zameldowali się wracający z urlopów strzelcy. Oto jak opowiadał strzelec Socha swoje wrażenia z podróży:

— Pamiętacie może, że gdyśmy wyjeżdżali na urlop, kazali nam zebrać się w dowództwie pułku. Było nas tam urlopników ze wszystkich kompanij pewnie ze 100, a może i więcej. Adjutant pułku zapowiedział nam, że nie wolno iść do kolei pojedynczo, tylko mamy zaczekać na pana porucznika Wróblewskiego z 5 kompanji, który też jedzie na urlop, więc obejmie dowództwo i odprowadzi nas. A to dlatego, że pociągi do miasteczka jeszcze nie dochodzą, gdyż 15 kilometrów stąd most był zerwany i sape-ry, chociaż dzień i noc pracują, jeszcze nie zdążyli go naprawić.

Wyciągnęły się nam twarze, jakeśmy usłyszeli że to pociągi jeszcze nie chodzą i taki kawał drogi trzeba będzie maszerować. Zaczęło się gadanie, jaki taki narzekał już nawet, że co mu tam po takim urlopie...

Dopieroż na nich wpadł starszy sierżant Łowin, ten, wiecie, z maszynek trzeciego bataljonu, co to go „sybirakiem” nazywają:

— A wy, mazgaje, wygodnisie!.. Ledwieście trochę powojowali, a już dostaliście urlopy i jeszcze wam źle? A wiecie wy, że ja 4 lata wojowałem jako młody żołnierz, zanim pierwszy raz urlop dostałem?... Brak wam sił, chudziaczki biedne, aby przemaszerować ten kawaleczek drogi do kolei... A ja tobym w 1919 roku na Syberji przeszedł, ba przebiegłbym nawet nie piętnaście, ale sto piętnaście kilometrów, byleby tylko w wigilję chociaż kilka godzin być u rodziców... Ale zamiast tego trzeba było w tak uroczystym dniu pakować śnieg do lokomotyw, bo wody nie było w pompach, trzeba było wywracać i zrzucać z toru zepsute wagony, bo tarasowały ruch naszych pociągów; a przez cały dzień nic ciepłego człowiek do głowy nie włożył... A wy, dziady jedne, rekruty jakieś!..

Umilkliśmy zawstydzeni... I dopiero po chwili jakiś śmielszy głos odezwał się z tłumu:

— Niech się pan sierżant na nas nie gniewa, tośmy tylko tak gadali, że to była taka niespodzianka... Ale my sami dobrze wiemy, że spotkała nas wielka radość, że jechać do domów możemy, gdy inni zostać w święta na froncie muszą... I wiemy, że to jeszcze 2 dni do wigilji, więc każdy na pewno zdąży do domu... Lepiej niech nam pan sierżant opowie, jak to było na tej Syberji, to i czas prędzej nam zejdzie!..

— Tak, tak, panie sierżancie!.. bardzo prosimy! — powtórzyło kilka głosów, bo choć nie jeden już słyszał opowieści sierżanta, ale wszyscy lubili słuchać o przeżyciach człowieka, który wiele w swem życiu widział i szmat świata przemierzył nogami...

Niedługo sierżant opowiadał, bo nadszedł porucznik Wróblewski. Przyjął raport od starszego sierżanta Łowina i tak powiedział:

— Macie, chłopcy, szczęście, bo właśnie zaraz odchodzi kolumna taborowa dywizji po amunicję. Dostałem pozwolenie, abyśmy pojechali pustymi wozami do stacji... Musimy się śpieszyć, bo kolumna stoi o 2 kilometry stąd, a czekać na nas nie będzie, bo też musi zdążyć na swój czas...

Radość zapanowała w całym oddziale urlopników. Chyba w kwadrans byliśmy już przy wozach. Wygodnieśmy się rozmieścili, po jednemu lub po dwóch na wozie. Trochę tam trzęsło, ale ktoby zważał na taki drobiazg, gdy się jedzie naprawdę na urlop...

Z tej stacji pojechaliśmy dalej pustym pociągiem, wracającym po wyładowaniu amunicji. Jechaliśmy tak niemal całą noc, drzemiąc na gołych deskach wagonów lub kiwając się na pustych skrzyniach lub stosach łusek artyleryjskich, które odsyłano też do kraju dla ponownego wykorzystania. Dobrze, że nie było mrozu, bo wagony były bez piecyków, a na po-

ciąg osobowy toby trzeba było czekać do rana.

Rano wyładowaliśmy się na stacji Wilno. Pan porucznik zaprowadził nas do punktu odżywczego. Tam już na nas czekała gorąca kawa i chleb z marmoladą. Zdziwiliśmy się, skąd się wzięło dla nas śniadanie tak bardzo wporę, boć to każdy po niewyspanej nocy był tem bardziej głodny; a suchy chleb, co się go zabrało z kompanji, nie na wieleby się przydał temu, kto go jeszcze nie zjadł wczoraj, gdyby nie było czem popić. Dopiero sierżant nam wyjaśnił, że to porucznik jeszcze z wieczora nadał telegram do tej wielkiej stacji, że tyle ludzi jedzie i że prosi o przygotowanie śniadania na godzinę 7,30.

Zanim zjedliśmy śniadanie, porucznik otrzymał dalsze rozkazy z komendy dworca i podzielił nas wkrótce na dwie grupy: tych, którzy jechali dalej w stronę Warszawy, i tych, którzy mieli jechać w inne strony. Tym drugim wydał karty urlopowe i pouczył, kiedy będą mieli pociągi. Myśmy jechali dalej razem, umyślnym pociągiem dla urlopowanych żołnierzy.

Takim pociągiem to się dość wygodnie jedzie; sami tylko żołnierze, nikogo obcego, miejsca dość. Jak przychodzi pora obiadowa czy kolacji, to już pociąg tak ma ułożone w swoim rozkładzie jazdy, że staje na dużej stacji i za-

raz wszyscy otrzymują obiad, czy inny posiłek na punkcie odżywczym, bo już zawczasu komenda jest uprzedzona. Tym, którym wypadało w Grodnie i w Białymstoku przesiadanie na boczne linje kolejowe, pan porucznik na tych stacjach wydał karty urlopowe i udzielił poleczenia na drogę.

W Warszawie zostaliśmy podzieleni na grupki jadących w różne strony i złączeni z grupkami urlopników, przybyłych z innych odcinków frontu i jadących w jedną stronę z nami. Dalej przez Łódź do Ostrowa jechaliśmy jeszcze pociągiem dla urlopników, a dopiero od Ostrowa zwykłymi pociągami osobowymi, każdy w swoją stronę. W Jarocinie musiałem zbyt długo czekać na pociąg, bo właśnie lotnicy nieprzyjacielscy zbombardowali stację na godzinę przed naszym przyjazdem. Wieruch kolejowy chwilowo był wstrzymany, a jeden znajomy kolejarz powiedział, że jak naprawią stacyjne tory, to najpierw będą puszczali pociągi wojskowe, bo są pilniejsze, a dopiero potem osobowe. Nie chciałem czekać tak długo i machnąłem się do Żerkowa na piechotę.

— A jak tam było na urlopie?

— No, na urlopie to było bajkowo, wiadomo, tego to nie mam co wam tłumaczyć. Żołnierzowi z frontu każdy rad, nie tylko rodzina, ale mało i wcale nieznajomi nawet ludzie. Każdy

dogadza, ugaszcza, cieszy się; wszyscy chcą okazać swoją życzliwość i serce, jakie mają dla nas, żołnierzy. No, a przytem niejeden chce się też dowiedzieć czegoś o swoich bliskich, którzy przyjechać na urlop nie mogli. A że to wojna, zostali po domach tylko starcy, chorzy lub niedorostki, no to i powodzenie u dziewcząt takie, jakiego nigdy dawniej żaden z nas nie miał; no bo jakże: wszyscyśmy przecież młode chłopaki, strojni w mundury, a przedewszystkiem przyjechaliśmy z tego frontu, o którym tam na dalekich tyłach myślą ze strachem jakimś i podziwem zarazem!..

Dobrze tam było, ale i z radością wracało się do kolegów na front: tyle miesięcy wspólnej doli i niedoli frontowej bardzo nas związały z kompanją i z pułkiem, z kolegami i dowódcami: tęskno było za wami!..

— Ale, ale — wtrącił znowu Miłosz — a jakżeś trafił do nas, kiedy przecież wyjechaliście z tamtego miasteczka i nikt nie wiedział, gdzie będziemy dzisiaj?

— O tak! trafić do pułku nie było rzeczą łatwą. W karcie urlopowej nie było napisane, dokąd wracamy, bo przecież nikt na pewno nie mógł wiedzieć, gdzie się znajdzie pułk czy dywizja za 14 dni, które mieliśmy spędzić na urlopie. Napisane mieliśmy tylko pierwsze miejsce przeznaczenia: Wilno. A tu mieliśmy się dowiedzieć o dalszą drogę. Poza tem było napisa-

ne, że „wszystkie władze wojskowe i cywilne mają ułatwić odbycie podróży”.

Jechaliśmy więc najpierw pociągami osobowymi, potem wojskowym urlopowym z Warszawy do Wilna. W Wilnie w komendzie dworca sprawdzili w jakichś wykazach i powiedzieli nam z Kluską, bo to znów razem wracaliśmy, że mamy jechać dalej do Lidy, a tam znów za-
pytać się o drogę. Na pociąg trzeba było czekać 4 godziny.

A był już późny wieczór... trzebaby zjeść coś ciepłego i gdzieś posiedzieć. Ale się boimy ze stacji odejść, bo a nuż pociąg pójdzie bez nas. A i miasta też nie znamy. Dopiero gdy tak chodzimy, a szukamy restauracji kolejowej, spotykamy jakąś panią w takim niby mundurze z jakimiś oznakami, w furażerze i z opaską kolorową na ramieniu. Taka, wiecie, sympatyczna, uśmiechnięta, jak ta świetliczarka, co to, pamiętacie, przychodziła do nas, gdy jeszcze wojny nie było, i wydawała książki i gry różne... Pyta się nas ta pani, na jaki pociąg czekamy. Gdyśmy powiedzieli, to pyta znowu: „To czemuż panowie nie korzystają ze świetlicy? proszę za mną -- tu się panowie posilą i wypoczną!”

I rzeczywiście, za chwilę znaleźliśmy się w pięknej świetlicy, urządzonej w budynku stacyjnym, ładnie przybranej. Było tam już sporo żołnierzy, wśród których uwijały się panie

z Białego Krzyża. Za kilka groszy dostaliśmy po kubku pysznego kakao i bułki, doskonaleśiny sobie podjedli. Potem oglądaliśmy gazety i różne pisma, niektórzy grali w szachy lub domino; kto chciał napisać list, dostał papier, pió-



Ryc. 9.

To jest świetlica żołnierska na dworcu kolejowym. Każdy podróżujący żołnierz może się tu ogrzać, pożywić, odpocząć i rozerwać, czekając na swój pociąg.

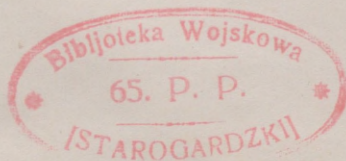
ro i atrament. Kto był zmęczony i chciał spać, to poszedł do dyżurnej pani i poprosił o zapisanie, aby go zbudziła na taki pociąg, jaki mu był potrzebny. Właśnie Kluska chciał spać, więc zapisano go i kazano usiąść w jednym kącie na ławie razem z innymi, jadącymi do Lidy. Gdy nadszedł czas, dyżurna pani obudziła

wszystkich z tej ławy i każdy na czas był w pociągu.

W Lidzie znowu trzeba było czekać, ale nie długo: mieliśmy szczęście, że w naszą stronę szedł pociąg naładowany samochodami. Komendant dworca kazał nam zameldować się u komendanta transportu. Po sprawdzeniu dokumentów zabrali nas samochodziarze do wagonów i dowieźli do końca, nawet nakarmili po drodze ze swej kuchni śniadaniem i obiadem. Wygodnie się jechało, bo chociaż wagony mieli towarowe, ale urządzone były pryncie do spania i piecyki, trzymające miłe ciepło. A wiecie, jaką mają ciekawą kuchnię? takie nieduże zamykane kociołki z piecykami, co się nazywają skrzynki do gotowania. Stoi to sobie na platformie i gotuje strawę jak kuchnia polowa. — Po wyładowaniu transportu na końcowej stacji podwieźli nas jeszcze samochodami aż do miasteczka, gdzie był skład żywności (bo po drodze zabrali i zawieźli tam żywność). Tu dywizyjny tabor żywnościowy wkrótce pobrał żywność i my odbyliśmy z nim dalszą podróż, potem przeszliśmy do taboru pułkowego i dziś wieczorem dostaliśmy się do kuchni polowej naszej kompanji. Gdy kuchnia ruszyła z kolacją do was, to i my z nią, no i jesteśmy.

No to już chyba wszystko opowiedziałem! I jeszcze raz wam powtarzam, że dobrze było

odświeżyć się trochę, odpocząć na urlopie, ale, wierzcie mi, dłużej teżbyśmy nie wytrzymali tam siedzieć tak beczynnie, gdy wy tu walczyście! I z radością jesteśmy znowu między wami, z nową ochotą pójdziemy jutro bić wroga!..





9783/1